Nr. 44. Poznań, Niedziela, dnia 2-go Listopada 1902 r. Rok VI



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dol. 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ul. Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Oto, byłem głodny...

Europa patrzy dzisiaj na widowisko bolesne i podniosłe zarazem: trzech bohaterów nieszczęśliwego narodu, który uległ przemocy, idzie od miasta do miasta i prosi o wsparcie. A Europa przyjmuje ich z zapałem i rozrzewnieniem otwierając im serca i kalety. Trzej niezwyciężeni jenerałowie burscy *Botha*, *Dewet*, *Delarey*, którzy przez więcej niż dwa lata z dnia na dzień śmierci w oczy patrzeli, dłoń, od dźwigania broni stwardniałą, wyciągają dziś po jałmużnę dla siebie, żon i dzieci swych i wedle słów własnych są oto „żebrakami." Ostatniemi czasy byli w Paryżu a potem w Berlinie. Tu i tam przyjmowano ich, jak nigdy nie przymowano żadnego panującego, cesarza ni króla, bo przyjmowały ich tysiączne tłumy serdecznie i gorąco nie z rozkazu władzy, ale — jak w Berlinie — *pomimo władzy* idąc ze serca popędem.

Miliony spłynęły do ich kieszeni w Paryżu i w Berlinie i tam oto dziękując Berlińczykom za przyjęcie i wsparcie przypomniał im jeden z jenerałów te słowa Zbawiciela: „Oto byłem nagi, przyodzialiście mnie, byłem głodny, nakarmiliście mnie, spragniony byłem, napoiliście mnie."

A dzisiaj, po dwuletniej krwawej, zabójczej wojnie i nadzy i głodni i spragnieni są Burowie i niewiasty ich i dzieci nagie są i głodne i spragnione i bez dachu nad głową. Każdy grosz dany im to uczynek miłosierny spełniony w myśl Tego, który miłosierdzia uczył, a te gorące przyjęcia zgotowane dzisiaj Burom to jak gdyby wymowne świadectwa, że nie zaginęła jeszcze lepsza strona duszy ludzkiej. I przypominają nam się dawne czasy...... Nie po raz pierwszy bowiem patrzy Europa na taką krwawą, bolesną i podniosłą tragedyą. Kiedy po upadku powstania listopadowego w r. 1831 szły przez Europę garstki Polaków uchodząc na zachód przed Sybirem i cesarskim batogiem, a szły nagie i głodne i spragnione, przyjmowano ich wszędy w Niemczech i we Francyi z większym jeszcze niż dzisiaj Burów zapałem. Dla tych wygnańców i rozbitków stawiano bramy tryumfalne, ugaszczano ich i śpiewano im ich pieśni narodowe. „Noch ist Polen nicht verloren" rozbrzmiewało wówczas po Niemczech całych — a Polak każdy — choć i nie żaden jenerał — był w oczach Niemca bohaterem godnym podziwu. Tak było aż do połowy dziewiętnastego wieku.

A dzisiaj? Dzisiaj Polak w oczach Niemca to wróg znienawidzony, którego zgnieść, zniszczyć, wygłodzić trzeba, dziś wojnę przeciwko Polakom głoszą prywatnie i urzędowo, w dni powszednie i przy wielkich uroczystościach, dziś hasłem Niemców wobec nas — to jedno: „Ausrotten". Dzisiaj wstydzą się tego, że kiedyś sympatyzowali z nami mówiąc, że był to objaw chorobliwy.

Czemże sobie tę zmianę, ten przewrot usposobienia Niemców wobec nas tłomaczyć? Czem sobie tłomaczyć, że ci sami Niemcy nam, z którymi razem żyją, chleb i język i wiarę wydrzeć by dzisiaj chcieli, a dla Burów, którzy są tam gdzieś za górami i morzami, nie żałują ni serca ni pieniędzy? Prosta na to odpowiedź.

Niezmienną jest natura ludzka, dziś zupełnie tą samą, jaką była przed laty 600, kiedyśmy na Psiem Polu i pod Grunwaldem Niemców bili i tą samą, jaką była przed laty 60, kiedy nas Niemcy wśród siebie ugaszczali. Ludy i dusze ich pozostały te same, zmieniły się jedynie warunki i okoliczności, wśród których żyć im trzeba. Dawniej kiedyś Rzecz Pospolita Polska i Niemcy to dwie przeciwne sobie potegi, które na zobopólnych

granicach niejedną krwawą stoczyły walkę. W początkach dziewiętnastego wieku zaś, kiedy przez Europę całą szło potężne tchnienie wolności wyrażając się w krwawych rewolucych, Polacy walcząc przeciwko despotyzmowi rosyjskiemu, a wypisując na sztandarach swych to hasło zwrócone do ludów: „Za naszą i waszą wolność“ *bronili wspolnej wszystkim narodom* sprawy. Niemcy widzieli w nas nie tylko żołnierzy walczących o niepodległość kraju własnego, ale rycerzy, których sobie „Królowa Wolnośc“ obrała, i dlatego witali nas i ugaszczali i śpiewali nam pieśni, bo czuli, że my wojownicy za wolność świata. O tyle się sprawa nasza zgadzała wówczas z ich sprawami.

Ale to pragnienie wolności Niemcy wnet zaspokoili; dostali konstytucyą jaką taką i wmówiono im, że jest ona ostatnim wyrazem szczęścia i wolności na ziemi. Potem po wojnie francuskiej wyrośli na wielką potęgę polityczną, miliardowym potokiem wlało się do Niemiec złoto francuskie, więc upajając się polityczną potęgą i siłą fizyczną, poczęli się kłaniać cielcowi złotemu, zwolna poszli w służbę do niego, wierząc, że nikt im spokoju ich zakłócać nie będzie. Aż tu naraz ruszyli się znowu ci dotąd niezaspokojeni, wolności spragnieni Polacy, ba nie tylko ruszyli się, ale nawet na wschodnich kresach spokój zakłócać gotowi potężnym tyle Niemcom. Cóż stąd, że tam kiedyś wolność obywatelska była wspólnem Niemców i Polaków dążeniem, dziś Niemcy wolności tej nie pragną, a więc Polacy, ci „urodzeni rewolucyoniści“ są wrogami, których wytępić trzeba.

Są jednak w duszy człowieka i narodu całego dobre instynkta i uczciwe struny, których ani złoto, ani siła brutalna, choćby ją i bałwochwalstwem otaczano, nie stłumi i nie wyniszczy. Te to dobre ludzkie uczucia odezwały się teraz i w Niemcach i objawiły przy przyjęciu Burów. To, że szczep burski z Niemcami spokrewniony, nie tłomaczy oczywiście wcale dzisiejszego Niemców dla nich zapału; boć bliższe jest ich pokrewieństwo z tyle im znienawidzonymi Anglikami, ciemięzcami Burów. Ale i tak łatwo się Niemcom do Burów zapalać. Nasamprzód otacza ich dzisiaj blask waleczności niezwykłej, blask bohaterstwa. Dalej są oni właśnie ofiarami Anglików znienawidzonych w Niemczech, a w końcu przyjmując ich tak owacyjnie i serdecznie naród niemiecki chce sferom rządzącym, które jak wiadomo Burów po raz drugi od drzwi swych bez przyjęcia odprawiły, wyrazić niezadowolenie swe i zaznaczyć roźdźwięk, jaki coraz wyraźniej między rządem a narodem niemieckim powstaje. Tak więc przy tych hucznych przyjęciach Burów łączą się uczciwe ludzkie popędy z chęciami i uczuciami, jakie szeroki ogół niemiecki dziś żywi — zupełnie tak samo jak przed sześćdziesięciu laty wobec nas — ludzkie popędy z potrzebami niemieckiemi idą tym razem w parze. Lecz bądźmy przekonani, niechby mocą dalszego rozwoju interesa Burów stanęły kiedy na zawadzie interesom niemieckim, a ten dzisiejszy gorący zapał zamieni się w nienawiść i w chęć zagłady, taką samą, jaka ich dziś na nas wiedzie.

Zapał, jaki dzisiaj Niemców dla Burów ogarnął, jest jednak nader znamienny i charakterystyczny. Od lat dziesiątek postawiono przed nimi cielca złota, potęgi politycznej i „siły przed prawem“ i nauczono ich bić przed niemi pokłony, i dzisiaj już oni sami powstają przeciwko „moralnej zgniliźnie“, jaka wśród nich się szerzy. Aż tu naraz z racyi Burów odezwały się gdzieś na dnie ich serca drzemiące uczucia miłości bliźniego i wolności, odezwał się straszny głód i pragnienie idealnych dążeń. „Otośmy nadzy, głodni i spragnieni“, powiedział o narodzie swoim jenerał burski, mówiąc o strasznej nędzy, jaka w ojczyźnie jego dziś panuje.

Ale gorszy nad fizyczny głód, jest głód ducha i serca spragnienie, a otóż — zdaniem mojem — przez te huczne przyjęcia Burów mówi dzisiaj duch niemiecki i odzywają się lepsze jego struny tą żałosną skargą: „Oto jestem nagi, głodny i spragniony“.

Vester.



Szkodliwa troska.

Jakże mało mamy wiary w siebie, w dojrzałość i zdrowy zmysł narodowy ogółu naszego! Wykazała to dowodnie dyskusya nad wnioskiem posła *Chrzanowskiego* w sprawie ograniczenia solidarności Koła poselskiego na sprawy czysto narodowe. Większa część prasy naszej oświadczyła się za dalszą, bezwzględną, przymusową solidarnością, a za jej przykładem poszli także wybitni mężowie, którzy głos zabrali w tej sprawie. Co chwila też padały zdania: solidarność Koła jest konieczna; jest to nietylko symbol i wyraz jedności narodowej, ale także paladyum, tarcz niezłomna przeciwko wszelkim zakusom jednostek w Kole i partyi w społeczeństwie — zboczenia z prawej drogi obowiązków narodowych. Gdy paladyum to padnie, łatwo stać się może, że jeden pójdzie do Sasa, drugi do lasa, że pęknie łączność i jedność i powstanie chaos, który najstraszniejsze wywołać musi skutki.....

A więc dla zapewnienia jedności w narodzie potrzeba koniecznie jakiejś twardej, żelaznej *obroży*, potrzeba pęt statutu, rodzaju wiecznej ustawy! Bez tego o jedności marzyć nie możemy....

Czyż takie przeświadczenie nie jest smutnem, bolesnem, upokarzającem, poniżającem nas w oczach wroga, podniecającem jego nadzieje? Aż nadto niestety! Lecz przypatrzmy się temu bliżej.

Jeden z zwolenników przymusowej solidarności zauważył, że niema dziś spraw ekonomicznych, które nie byłyby zarazem narodowemi. Tak nie jest, przeciwnie, rzadko która sprawa ekonomiczna ma ogólne, narodowe znaczenie. Zwykle są one jedynie sprawami pewnych kół i warstw. Narodowemi są tylko o tyle, o ile cały naród z nich korzystać może. Aby zaś mógł z nich korzystać muszą przybrać formę, którą by uwzględniała nie wy-

łącznie interes jednej warstwy, lecz całości. Co do tego zaś zdania zawsze się będą ścierały, jednomyślność rzadko tylko da się osięgnąć, tem rzadziej, im bardziej społeczeństwo nasze będzie się przeobrażało z społeczeństwa jednostronnie agrarnego w mieszane, *agrarno-przemysłowo-handlowe.* Jeźli zaś da się osięgnąć to jedynie na mocy wielkiej swobody dyskusyi i wzajemnych ustępstw; a gdy i to nie doprowadzi do celu trzeba zaradzić ewentualnemu rozgoryczeniu wzajemnemu przez pozostawienie poszczególnym sferom *wolności* w obronie swych interesów.

Właśnie z cłami tak się ma sprawa. Jednomyślność nie da się tu osięgnąć, jedni będą twierdzili, że droższe zboże, drudzy, że tańszy chleb większą przyniesie korzyść ogółowi i od zdania tego nie odstąpią. Niechże tedy każda strona czyni co uważa za konieczne ze swego stanowiska, tem bardziej, że sprawa ceł tak się ułożyła, iż nawet jednomyślność nasza nie zdołałaby pokierować cłami według naszej myśli, boć zależy to od stronnictw niemieckich. A sprawa polska nic na tem nie ucierpi, gdy się tak stanie, przeciwnie zyska na tem, bo obie strony nie będą sobie mogły zarzucać nawzajem: patrzcie, poświęciliśmy nasze zdanie dla waszego i cóż się stało? A tak samo ma się rzecz z wielu innemi sprawami ekonomicznemi.

Jest więc różnica między ekonomicznemi, a ściśle *narodowemi sprawami.* Z temi ma się rzecz zupełnie inaczej. Co do kwestyi, czy mamy zostać Polakami, czy dzieci nasze tylko w języku ojczystym skutecznie pobierać mogą naukę w szkołach, czy mamy prawo do swobodnego rozwoju narodowego, czy prawa tego bronić mamy i w jaki sposób — co do tych i tym podobnych spraw żadna nie może zachodzić różnica zapatrywań. Tu tępienie polskiej narodowości w Prusach wytknęło nam tak prostą i jasną drogę, taki wyraźny program, taki prawdziwy katechizm, że dwóch zdań tu być nie może, *ani dwóch sprzecznych interesów.*

A nużby się objawiły? powie niejeden. Nużby i pod tym względem zaszły wyjątki, nużby pojawiło się znów zdanie, że tylko drogą asymilacyi, polityki ugodowej a la miniona, zdołamy coś osięgnąć, lub tym podobne? Na to odpowiadamy: Zdanie takie wyjść może dziś już tylko od jednostek z spaczonym zupełnie poglądem na nasze stosunki.

I tu ogół ma nie tylko prawo, ale i obowiązek huknąć gromko do takich niesfornych i zdeprawowanych służalstwem jednostek: *Milczeć! w kąt!* — ma prawo usunąć ich z widowni groźną falą oburzenia i potępienia ogólnego. Niechże się tylko odważy który z posłów naszych wznawiać politykę ugodową, a zapewne gniew ogółu zmiecie go z trybuny, zanim się spostrzeże, co zbroił.

Jest więc między sprawami temi różnica, wielka różnica. W narodowych jest i może być tylko *jeden wspólny wprost święty interes,* dogmat prawdziwy — w kwestyach ekonomicznych zaś mogą być rozmaite interesy, oraz wątpliwości, który byłby korzystniejszym dla ogółu. A jeźli zachodzi taka różnica, to też obie sprawy odmiennie należy traktować.

Powiedziano potem także, że właśnie dlatego, iż posłowie nasi nie są reprezentantami pojedyńczych stronnictw lub warstw, lecz *całego narodu,* muszą być solidarni nawet w kwestyach ekonomicznych. Otoż to znaczy tyle, jak gdyby ktoś prawdę postawił na głowę. Właśnie wówczas, gdyby Koło polskie było reprezentacyą tylko *jednej warstwy, jednego stronnictwa,* można by od niego żądać bezwzględnej solidarności we wszystkiem. Tak się dzieje w stronnictwie socyalno-demokratycznem, które reprezentować chce tylko interesy jednej warstwy, robotniczej; tak dzieje się w stronnictwie agraryuszy — bo są to stronnictwa sklejone głównie wspólnym interesem ekonomiczno socyalnym. Ale już inaczej dzieje się w Centrum, którego łącznikiem jest wspólność wiary. Tu już w kwestyach ekonomicznych i zarobkowych z dawien dawna panowały rozmaite zdania i zachodziły — podziały przy głosowaniu. I zupełnie słuszne, boć i w Centrum dla dobra wiary zasiadają rozmaite warstwy z rozmaitemi interesami. Tak samo ma się rzecz z społeczeństwem polskiem jako *-narodowem.* Przestańmy się raz wreszcie łudzić, że jesteśmy społeczeństwem *wyłącznie* agrarnem. Będzie to zaś nawet nonsensem po przyłączeniu się Ślązka, co musi nastąpić rychlej czy później. Ponieważ zaś w narodzie istnieją rozmaite warstwy, więc gdzie chodzi o interesy tych warstw, powinna każdej być pozostawiona największa swoboda.

Przestańmy bać się zdrowej, przedmiotowej wymiany zdań, ścierania się interesów i prądów społeczno-ekonomicznych. Tylko ze zdrowej emulacyi tych prądów wyniknąć może sytuacya pomyślna dla ogółu. Sto lat niedoli powinno nas było przecież nauczyć przynajmniej objektywnej dyskusyi, wyrozumiałości dla przeciwnego zdania, swobody przekonań na wewnątrz, a *najściślejszej solidarności na zewnątrz.* Ostatnie zaś lata powinny były tak nas wykształcić w narodowym kierunku, tak *oduczyć wszelkich mrzonek* i zboczeń, że śmiało pozostawić by można pieczę nad dobrem ogółu — *opinii publicznej* — że nie potrzeba utrzymywać dalej pęt, gdzie są zbyteczne, a nawet szkodliwe.

Naszem więc zdaniem można zrealizować wniosek posła *Chrzanowskiego* bez najmniejszej szkody dla ogółu, co więcej, *należy go* zrealizować dla *dobra ogółu.*

Jeźlibyśmy zaś jeszcze nie dorośli do takiej wewnętrznej swobody i dojrzałości — no, to i *przymusowa* solidarność na długo nas nie zdoła ochronić od walk wewnętrznych i rozbicia.

Narodowiec.



Caveant consules!

W *Zbąszyniu,* jak doniesiono „Gońcowi Wielkopolskiemu,“ ma powstać *gazeta centrowa,* a wraz z nią, na kresach wielkopolskich coś w rodzaju sztabu generalnego dla agitacyi niemiecko-katolickiej.

Przygnębiający to wprost objaw, że wiadomość tę przyjęła reszta prasy naszej zupełnie obojętnie, że większość pism naszych nawet jej nie powtórzyła. Nie grzeszyliśmy nigdy zbytkiem przezorności politycznej, w tym wypadku zaś zabrakło nam jej zupełnie, a nietylko przezorności, lecz wogóle *zmysłu politycznego!*

Gazeta ta, to owoc długoletnich kompromisów naszych z stronnictwem Centrum w tym okręgu, to następstwo naszej trwożliwej uległości dla rzekomych niemiecko-katolickich „sprzymierzeńców.“ Wpuściliśmy ich niebacznie do własnej zagrody, a oto prastarym zwyczajem Niemców już się w niej usadowili na dobre i teraz usiłują z niej wyprzeć *nas,* prawowitych jej właścicieli.....

Kilkakrotnie, a wymownie — bo *datami statystycznemi* wykazywała *„Praca“* szkodliwość i bezcelowość owych kompromisów z Centrum ostatni raz podczas wyborów uzupełniających w tym okręgu przed trzema laty. Liczebnie wówczas stwierdziliśmy, że Centrum nic nam tam pomódz nie może i *nie pomaga,* że zniewalając lud nasz do głosowania na kandydatów centrowych, wywołujemy nie tylko straszne zamieszanie w jego pojęciach, ale nadto fałszywe wręcz mniemanie o sile centrowców w tych stronach, że

zaostrzamy tylko przez to ich apetyt na *naszą* własność, na *nasz* odwieczny stan posiadania. Naprożno! Nie słuchano nas wówczas, dziś jeszcze nie zwraca się uwagi na nowe niebezpieczeństwo tam nam grożące. Czy dopiero nowa niechybna klęska ma nam znów otworzyć oczy? A nuż wówczas zapóźno już będzie na ratunek?

To postanowienie stronnictwa Centrum jest wręcz bezczelną uzurpacyą, jest niemal otwartem wypowiedzeniem nam wojny. Nie dość oto, że stronnictwo to zabrało nam przed laty cały polski Górny Śląsk, i że nie chce nam go oddać, teraz wyciąga ręce także po kawał Księstwa.....

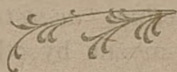
Co znaczy gazeta centrowa w polskich stronach, pozbawionych już do tego stopnia ziemiaństwa polskiego oraz inteligencyi, jak ziemia Zbąszyńska, gdzie i część duchowieństwa przyznaje się do niemieckiej narodowości, o tem wiedzą dobrze bracia Ślązacy. Gazetę taką wciska się gwałtem niemal do rąk polskiego ludu, udaną w niej życzliwością dla Polaków usypia się jego czujność i podejrzliwość — nęci się go wspólnością wiary i tak powoli, powoli, nieznacznie ale z prawdziwie niemiecką wytrwałością przeciąga na stronę niemiecką. Wytwarza się przytem nowa jakaś niemiecko-katolicka opinia w okręgu, gdzie panować i decydować powinna wyłącznie opinia *polsko-katolicka.* Trzeba wiedzieć, jak to potęguje pewność siebie i przedsiębiorczość danej partyi posiadanie własnego organu, zwłaszcza, gdy druga strona organu własnego nie posiada. Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że fakt ten tak pomnoży butę i uroszczenie Centrowców w tych stronach, iż w przyszłości żądać będą od nas tylko takiego „kompromisu", w którym lud polski miałby odgrywać rolę „bydełka wyborczego" dla Centrum.

Przeszkodzić spełnieniu zamiaru tego już nie zdołamy. Wyhodowaliśmy sobie tam przy własnem ciepłem łonie węża, który rychło zwróci się przeciw nam i zjadliwie kąsać nas zacznie. Ale możemy mu jeszcze wyrwać jad z zębów i uczynić kąsanie jego nieszkodliwem, możemy przynajmniej ochronić lud polski w Zbąszyńskiem przed hypnotyzującym wzrokiem tego węża. Uczynić zaś możemy jedynie przez szybkie założenie w Zbąszyniu *polskiego* pisma.

Słusznie nawołuje do tego „Goniec Wielkopolski." I my przyłączamy się do jego nawoływań. Wątpimy tylko, czy znajdzie się u nas przedsiębiorca *prywatny,* który odważy się na ten cel zaryzykować własny majątek. Bo dola polskich wydawców na kresach jest trudną i ciężką.

Nawet w razie, jeżli znajdą znaczniejszą liczbę abonentów nie mogą się zwykle spodziewać należytej zapłaty za swą pracę i swoje nakłady, czysty zysk bowiem z pism zagarnia u nas stale prokuratorya państwowa. Jeżli więc nie znajdzie się taka odważna jednostka, trzeba tam stworzyć pismo z funduszów *składkowych, z ofiar ogółu.* Zabezpieczamy się przed ogniem i gradem i bez szemrania płacimy na to wysokie nieraz premie, czyż nie zdobędziemy się na takie samo zabezpieczenie sprawy naszej w Zbąszyńskiem przed grożącą jej *polityczną* klęską gradową? Na to środki znaleźć się muszą, jeżli niemamy ponieść daleko gorszej straty i szkody w przyszłości. I znajdą się też, jeżli tylko w kołach naszych miarodajnych nie zabraknie do tego chęci i woli. Wołamy więc głośno: Baczcie konsulowie, póki czas jeszcze!!

Ordon.



Złośliwa głupota.

Niechętnie tylko zajmujemy się bredniami, kłamstwami i fałszami pism niemieckich mianowicie hakatystycznych. Prostowanie i odsłanianie ich nie na wiele się przyda, gdyż pisma te są tak zatwardziałe w złości i niegodziwości, iż nawet Anioł z nieba by ich nie zdołał skłonić do poprawy, a cóż dopiero pismo polskie. Jeżli więc dziś przedkładamy Czytelnikom naszym nowy tego rodzaju kwiatek, to czynimy to jedynie dla nich, aby poznali cały bezmiar nędzoty moralnej i umysłowej naszych wrogów i tembardziej we wszystkiem mieli się na baczności.

„Kwiatek," który dziś uszczknęliśmy zasługuje rzeczywiście na miano złośliwej głupoty, bo jest i złośliwym i głupim równocześnie, wyrósł zaś na bagnistych łamach poznańskiego *„Tageblattu."* Właściwie rzecz biorąc, są to *dwa* kwiatki, ale że równą odznaczają się brzydotą i brzydką wonią, przeto ściągamy je pod jeden mianownik.

Nie od dziś kłuje w oczy wrogów naszych przepiękna nasza filantropijna instytucya: *„Towarzystwo Pomocy Naukowej,"* nie od dziś spoglądają łakomym wzrokiem na znaczne jej fundusze. Rząd wprawdzie jeszcze musi się trzymać prawa i nie może tak bez wszystkiego zabierać cudzej własności, ale gdyby szło po myśli tego szarego tłumu szczwaczy hakatystycznych, dawno już fundusze „Pomocy" utonęłyby w szerokich i bezdennie głębokich kieszeniach niemieckich. Cóż bowiem w oczach tego tłumu znaczy prawo, gdy chodzi o Polaków, gdy na Polakach obłowić się można!!

I oto w tym kierunku zdawna już pracuje część prasy niemieckiej. Teraz znów podjął się tej misyi „Posener Tageblatt" i w seryi artykułów stara się wykazać, że „Tow. Pomocy Naukowej" ma cele polityczne, że dąży do wypierania Niemców, że więc jest niebezpieczne dla państwa pruskiego, no i jako takie powinno być ubite i ogołocone z funduszów na rzecz *Niemców.* Tego ostatniego żądania „Tageblatt" jeszcze otwarcie nie wypowiada, ale daje to dość przejrzyście do zrozumienia.

I w czem to „Tageblatt" dopatruje się owego niebezpieczeństwa grożącego rzekomo Prusom ze strony tego Towarzystwa? Oto w tem, że stypendyaci Towarzystwa poświęcają się głównie takim zawodom, w których jeszcze Polaków mało, że pracą i wiedzą swoją sprawiają konkurencyą Niemcom, że pozostają do końca życia Polakami, a nawet agitatorami itd. itd.

A więc „Tageblatt" bierze Polakom za złe to, co jest prawem i obowiązkiem każdego narodu, a mianowicie, że rozszerza pole zarobkowości, podstawy bytu swego, że pozostaje tem, czem go Pan Bóg stworzył. Jeżli to ma być niebezpieczeństwem dla Niemców, w takim razie niebezpiecznym dla nich jest także *fakt istnienia naszego.*

A no, trudno, już to dla dobra Niemców nie potopimy się dobrowolnie w Odrze, Warcie i Wiśle, nie zażyjemy in gremio arszeniku lub jakiego innego podobnego specyału — bo do życia i rozwoju mamy takie samo prawo, co Niemcy.

Za pozwoleniem! Nie mamy! Bo oto zdaniem „Tagebl." odmówił nam prawa tego *Fryderyk Wilhelm III.* Pisze bowiem, że największą zbrodnią „Pomocy Naukowej" jest, iż jeszcze dziś dąży do tego, ażeby utrzymać Polaków jako *naród* — jakkolwiek *już Fryderyk Wilhelm III. w swym patencie okupacyjnym powiedział, iż polityczno-narodowy byt narodu polskiego należy do przeszłości, „jest zamknięty na zawsze."*

Naród polski jest jak wszystkie narody tworem Boga, od Boga wziął istnienie swe, swą ziemię i swój byt polityczny; Bóg za grzechy przodków naszych byt ten nam odebrał, ale Bóg też znów wrócić go nam może. A że ma

umiar wrócić go nam w stósownej chwili, o tem świadczy choćby tylko opieka, jaką nas otacza i od zguby chroni, żywotność, jaką w nas wlewa, wspaniały wprost duchowy i kulturalny rozwój, jaki nam zsyła. A tu jedno słowo króla pruskiego ma wystarczać, aby – byt nasz był zamknięty — na zawsze!!

Przyzna to każdy, iż królowie pruscy mogą być wielkimi władzcami, mogą mieć krociowe armie i całe góry złota, ale do decydowania o istnieniu narodów nie mają prawa ani władzy.

Choćby królowie milion razy orzekli, że byt polityczno narodowy Polaków należy do przeszłości i jest definitywnie zamknięty, *Polacy zawsze uważać się będą jako naród, zawsze żyć będą jako naród, zawsze prosić Boga, aby im wrócił, to co zabrał.* A nie tylko oni sami siebie, lecz także wszystkie inne narody uważać ich będą za naród, który ma prawo nietylko do życia, ale także *do narodowo-politycznego bytu.*. I tak będzie mimo patentu okupacyjnego Fryderyka Wilhelma III. i wszystkich podobnych orędzi i oświadczeń, *dopóki Bóg zechce.* Bo Pan Bóg jest większym nietylko od pana Rymszy, ale także... od Fryderyka Wilhelma III. i *wszystkich* innych książąt.

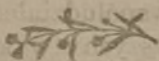
I pismo, które wojuje taką głupią złośliwością śmie zarzucać pismom polskim i Polakom wogóle, że posługują się „taktyką kłamstwa“ i obłudy. Tak jest! Napisało o tem długi artykuł pod tytułem *„Zur Tactik des Polenthums.“* Asumpt do tego dały mu dwa dokumenty ogłoszone przez jedno z pism codziennych polskich, a wykazujące, jak to pod wpływem działania komisyi kolonizacyjnej znikają parafie katolickie. Chodziło tu o Kołdrąb. Z tego, pisze „Tageblatt“ wysnuwają pisma polskie „kłamliwy“ wniosek, że rządy pruskie zagrażają także religii katolickiej, a czynią to dlatego, ponieważ sławna mowa cesarza w Poznaniu *wykazała,* że religii katolickiej u nas nic nie grozi. I znów oto odwoływanie się na słowa monarsze, jako argumentu, rozstrzygającego wszystko! Co się zaś tyczy dokumentów owych, to, zdaniem „Tageblattu“ niczego nie dowodzi, bo jak stara się wykazać, są 1) albo skradzione; 2) albo nieprawdziwe; 3) albo były przeznaczone z góry do... kosza....

I gadajcież tu z taką złośliwą głupotą! Toć jedno drugie zbija. Coś, co nie istnieje, nie może być — skradzione lub przeznaczone do kosza!!

I znów oto według „Tageblattu“ — nie ma być prawdą to, co dzieje się codziennie, co my wszyscy odczuwamy, na co wszyscy patrzymy. Jakaż to perfidya!!

Że naturalnie w tym artykule „Tageblatt“ nie pominął wydawcy pisma naszego pana *Biedermanna,* że i jemu podsuwa zdradziecką i podstępną taktykę, jak wogóle wszystkim polskim Bankom dla sprzedaży ziemi — to rzecz zupełnie naturalna, teraz zwłaszcza, gdy p. Biedermann wydarł z rąk *niemieckich* kilka pięknych majątków. Toż to byłaby gratka dla „Tageblattu“ gdyby mógł zdyskredytować p. Biedermanna w oczach rodaków; jużby wtedy majątki w rękach niemieckich pozostające, były bezpieczne. Ale gratka ta się nie uda. Psychologicznie rzecz biorąc, nie dziwimy się temu podłemu oszczerstwu. Nikczemni ludzie zawsze bowiem przypuszczają u innych to samo, czego sami się dopuszczają. Wiadomo przecie, w jaki podstępny nieraz sposób Niemcy narzucają swe liche majątki komisyi kolonizacyjnej. Więc i Polacy tak postępować muszą — zdaniem „Tageblattu.“ Odpierając atoli ten zarzut śliną pogardy — zwracamy uwagę Czytelników naszych na tę bezczelną głupotę i złośliwość pism niemieckich i wolamy do wszystkich: *Miejcie się na baczności!* Wy, zwłaszcza — panowie, którzy czuwacie nad instytucyami naszemi. Mądremu dość na słowie!

Czujny.



Nadchodzą długie wieczory...

Nadchodzą długie wieczory, a wraz z niemi nowe obowiązki dla was *Rodzice polscy!*

Pamiętajcie o tem, że nietylko przed Bogiem, ale i przed narodem waszym odpowiadacie za *dusze* waszych dzieci. Strzeżcie więc dusz tych, aby pozostały czyste i prawe, czuwajcie nad tem, aby nie zagnieździła się w nich obczyzna, lecz by to były zacne i szczere *polskie* dusze. Taką samą pieczą otaczajcie serca dziatwy waszej. Niech przedewszystkiem kochają Boga, a po Bogu Ojczyznę polską, naród swój i wszelkie ideały narodowe.

Dopóki na świecie ciepło i zielono, dopóki dużo pracy w polu i ogrodzie — trudno wymagać od dzieci, aby godzinami całemi ślęczały w domu nad książką, trudno żądać od was, Rodzice, ażebyście do rozlicznych swych zajęć dodawali jeszcze nowe, a wcale nie łatwe, jakiemi dla was jest kształcenie dziatwy w domu. Jak bowiem z jednej strony młodość ma swoje prawa, musi się wyhasać, zabawić, aby była czerstwą i zdrową — tak z drugiej strony i od starszych pracy ponad siły nikt wymagać nie może. Gdy atoli śnieg przyprószy pola, gdy rychło już rozpocznie się wypoczynek wieczorny, gdy i robotnika w fabryce po znojnej pracy ciągnąć będzie ku sobie ciepło domowe — wówczas pora najlepsza do spełniania świętego obowiązku wobec *Boga, narodu i dzieci.*

Niechże polskie ogniska domowe staną się naprawdę twierdzami, o które rozbiją się zakusy wrogów naszych. Niechże przy tych ogniskach przechowa się bezpiecznie *Ojczyzna* nasza, aż ją Bóg znowu do lepszego powoła życia......

Szkoła obecna działa w kierunku, sprzeciwiającym się naszym prawom najświętszym, naszym interesom narodowym, naszym uczuciom i pragnieniom. Jeżeli więc nie będziemy całą siłą paraliżowali jej dążeń, sami wykopiemy grób Polsce i narodowi polskiemu.

Każde samobójstwo, czy to jednostki czy narodu jest ciężkim grzechem, za który Bóg karze surowo. Dał nam Pan Bóg żywot polski, żyjmy więc po polsku, po polsku wychowujmy dziatwę naszą.

Nie jest to zadanie tak trudne, iżby przekraczało siły nasze. Posłuchajmy tylko, co potrzeba do tego:

Przedewszystkiem potrzeba, aby rodzice sami czuli i myśleli po polsku.

Potrzeba dalej, aby dali do rąk dzieci swych *książkę polską.* Komu na więcej nie starczy niech kupi tylko: polski *katechizm, elementarz* polski, krótką *historyą Polski* i *polski kalendarz.* Te cztery książki kosztują nie wiele więcej, jak markę, każdemu więc, nawet najuboższemu stać na to. Oprócz tego należy abonować tanie jakie, lecz szczerze polskie pismo, gazetkę polską. Mamy ich dzięki Bogu dosyć. Kto sam na taki wydatek zdobyć się nie może, niech abonuje gazetę do spółki z sąsiadem.

Kto już ma w domu te książki, powinien baczyć na to, aby dzieci pilnie w nich czytały, by się z nich uczyły.

Obok tego należy wpływać na nie ciepłem, serdecznem żywem słowem.

Należy je napominać, ażeby kochały Boga i słuchały wszelkich przykazań jego; aby pilnie wypełniały wszelkie przepisy religijne. Bo tylko dusza pobożna i wierna pozostanie także szczerze polską.

Należy im tłomaczyć, że Ojczyzną naszą jest *Polska,* ta wielka niegdyś, a dziś rozćwiartowana, lecz z woli Bo-

żej drgająca silnem życiem, otuchą i nadzieją.

Należy wpajać im miłość do wszystkiego co *polskie*, do braci, do sióstr polskich, do polskich zwyczajów i obyczajów, do języka ojczystego, do pieśni polskiej.

Należy przygotowywać je na *bóle i cierpienia życiowe*, na mękę i prześladowanie. Należy im opowiadać o pierwszych chrześcianach, o cierpieniach, jakie znosili dla wiary świętej i pouczać, że i dla swej narodowości powinny ochotnie znosić wszelkie prześladowania.

Należy zawczasu wpajać im zamiłowanie do *pracy i oszczędności*, bo tylko temi cnotami zdobyć sobie można znośny byt doczesny. Należy je uczyć, aby zawsze przedewszystkiem wspierały rodaków.

Należy budzić wiarę w lepszą przyszłość narodu, w sprawiedliwość Bożą, która w końcu jednak pognębi naszych ciemiężycieli, nam zaś zgotuje tryumf i zwycięztwo.

Wszystko to trzeba wpajać w sercach dziatwy polskiej przy ognisku domowem mianowicie podczas długich wieczorów zimowych. Kto nie wypełni obowiązku tego, zgrzeszy ciężko przeciwko prawom Bożym i prawom narodu. Kto zaś wypełni je sumiennie, doczeka się pociechy ze swych dzieci i dołoży mocną cegłę do gmachu lepszej polskiej przyszłości. Rodzice polscy! Pamiętajcie o tem!

Ojciec.



Jubileusz Maryi Konopnickiej we Lwowie.

Uroczystość jubileuszowa Maryi Konopnickiej we Lwowie odbyła się w zeszłą niedzielę ściśle podług określonego naprzód programu — tylko nastrój uroczysty, a w niektórych momentach podniosły, przeszedł oczekiwania. W sobotę wieczorem powitał Konopnicką na dworcu komitet jubileuszowy i prezydent Małachowski. Nazajutrz rozpoczęła się uroczystość o godz. pół do 12-tej przed południem, z chwilą, kiedy Konopnicka przyjechała do teatru. Jubilatkę, podobnie jak w Krakowie biało ubraną, powitał prezydent miasta p. Małachowski, ofiarując wspaniały bukiet. Teatr był zapełniony. W lożach widnieli: namiestnik hr. Piniński, marszałek krajowy Andrzej hr. Potocki i liczni dygnitarze ze sfer urzędowych. Delegacye znajdowały się na scenie. Powitał poetkę prezydent Małachowski. Po złożeniu życzeń przez reprezentantów ciał naukowych, t. j. rektora uniwersytetu Ochenkowskiego, politechniki Fidlera, akademii rolniczej w Dublanach Frommela, zakładu Ossolińskich Kętrzyńskiego i Władysława Bełzę, przemówił poeta Jan Kasprowicz, poczem składała życzenia, imieniem kobiet ,p. Neumanowa.

Następnie rozpoczęła się defilada deputacyi: od Koła literackiego (Kazimierz Skrzyński), od dziennikarzy lwowskich (prezes Adam Krechowiecki), Tow. Mickiewicza, Kopernika, historycznego i t. d.

Wielki entuzyazm wywołało pojawienie się deputacyi czeskiej i południowo-słowiańskiej, Chorwatów, Bułgarów i Serbów. Konopnicka odpowiadała z widocznem wzruszeniem.

Nastąpiła część muzyczno-deklamacyjna, której jubilatka przysłuchiwała się z loży. Na program złożyły się: orkiestra teatralna i Towarzystwa muzycznego, kantata Niewiadomskiego, wykonana przez chór, śpiew Bohus-Hellerowej i Borkowskiej, oraz kompozycye Galla i Żeleńskiego do poezyi Konopnickiej. Raut trwał 3 godziny.

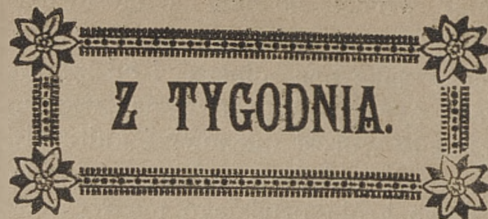
W pauzie pomiędzy porankiem jubileuszowym a zapowiedzianym rautem w lokalu Koła literackiego była jubilatka w towarzystwie „Sokoła,“ gdzie wygłosiła improwizacyę.

Na raucie, który wypadł wspaniale i znów z współudziałem reprezentantów najwyższych w kraju władz, wręczono jubilatce dyplom honorowy na członka Koła, poczem pani Helena Modrzejewska i Śliwicki deklamowali utwory poetki. Odczytano kilkadziesiąt telegramów z Warszawy, z Pragi, z Petersburga, z Kopenhagi, z Zagrzebia i t. d. — Na raucie była obecna córka Konopnickiej i p. Dulębianka, której portret jubilatki, pochodzący z prywatnych zbiorów, uzyskała na kilka dni przed jubileuszem wystawa sztuk pięknych przy placu św. Ducha.

Z Przemyśla donoszą, że tamtejsze towarzystwo literackie obchodzić zamierza jubileusz w niedzielę, dnia 9-go listopada.

W.





Z TYGODNIA.

Ponad wszystkiemi sprawami politycznemi górowała w ostatnim tygodniu — dla nas przynajmniej no i dla pięćdziesięciu milionów naszych przymusowych „współobywateli“ niemieckich *sprawa niemieckiej taryfy celnej* w parlamencie berlińskim. Dla nas nietylko dlatego, że wywołała bardzo ożywioną dyskusyą nad cłami i ewentualnemi reformami w Kole polskiem, ale także dlatego, że złe czy dobre skutki, jakie wywoła, i my odczujemy. Na razie wprawdzie „jakość“ i rodzaju tych skutków nawet domyślać się nie można.

Po półrocznych już przeszło rozprawach w plenum parlamentu i w komisyi, po setce conajmniej wielkich mów ministeryalnych i conajmniej tysiącu mów poselskich wisi nad tą sprawą taki sam znak zapytania, jak wówczas, gdy ją przedłożono parlamentowi, a nawet bardziej jeszcze tajemniczy. Przed rozpoczęciem drugiego czytania w plenum uważał kanclerz hr. *Bülow* za stósowne oświadczyć raz jeszcze, że rząd ani o włos nie odstąpi od projektu swego, to jest nie przystanie na podwyższenie zawartych w nim ceł na zboże choćby o fenyg. Parlament tymczasem, a raczej większość posłów — dowiodła, że do tego oświadczenia żadnej nie przywięzuje wagi. Przyjęła bowiem wnioski komisyi, które podwyższają cła projektowane przez rząd: na żyto o 50 fen. (na 5,50), na pszenicę o 1 markę, na jęczmień i owies o 2 marki i t. d. Większość tę stanowiły stronnictwa konserwatywne, centrum i Koło polskie oraz kilka luźnych mniejszych partyi. Rząd wobec tego ponownie zapewnił, że na to podwyższenie nie może się zgodzić, nie chcąc na szwank narazić kwestyi zawarcia nowych traktatów handlowych z ościennemi państwami, ale większość ani drgnęła na to. Napróżno jeden z wolnomyślnych posłów wykazywał, iż naprzykład uchwalone przez większość podwyższenie cła na jęczmień podroży *piwo* o całe dwa fenygi na litrze; i to nie wzruszyło zwolenników ceł wysokich. Na wszystkie perswazye i argumenty przeciwników odpowiadają: „takich wyższych ceł wymaga dobro rolnictwa, bez nich rolnicy zmarnieją i na tem basta!“ Co się teraz stanie? — pytano ogólnie, gdy ta uchwała zapad-

ła. W innych krajach konstytucyjnych byłyby możliwe tylko dwie drogi wyjścia. Alboby rząd *ustąpił*, podał się do dymisyi i pozostawił załatwienie sprawy innemu gabinetowi, albo też rozwiązał by parlament i przez nowe wybory postarał się o inny. Tymczasem w tym wypadku nie nastąpi ani jedno, ani drugie. Hr. Bülow ma podobno jeszcze za sobą cesarza, ufny więc w tę pomoc ani myśli składać broni przed parlamentem. Ale i parlamentu nie rozwiąże — bo sam nie wie dokładnie, jakim byłby nowy? Większość ludności Niemiec jest bowiem stanowczo przeciwna podwyższeniu ceł, boi się podrożenia żywności. Łatwo więc być może, że z nowych wyborów wyszedłby parlament, któryby nie tylko obalił uchwały *obecnej większości*, ale także cła proponowane przez *rząd*.

A takiego rezultatu rząd również sobie nie życzy. Konserwatywna ludność rolnicza zawsze jeszcze jest mu milszą od liberalno socyalistycznej miejskiej i przemysłowej, więc za żadną cenę nie chciałby osłabiać żywiołów konserwatywnych — bardziej jeszcze. Cóż atoli pocznie? A no, na razie liczy jeszcze na to, że większość dzisiejsza zmięknie i ustąpi, że przy trzeciem czytaniu „obali" się tylu posłów, iż przyjęte zostaną cła proponowane przez rząd. Na razie więc tak sobie rzecz ułożył: Niech sobie posłowie spokojnie radzą dalej, materyału do dyskusyi im nie zabraknie. Nowa taryfa zawiera bowiem jeszcze blizko 1000 innych, przemysłowych pozycyi. Trzecie czytanie projektu ma się odbyć dopiero w marcu i kwietniu; gdy się więc posłowie znużą debatami, może będą skłonniejsi do ustępstw.

Jest to metoda, zbliżona bardzo do owej sławnej „fortwursteln," jaką przez 10 lat uprawiał hr. Taaffe w *Austryi*. W Niemczech jednakże bodaj, czy da się zastósować. Zachodzi tu poważna obawa, że parlament do marca bodaj czy wogóle upora się z — *drugiem* czytaniem. Posłowie do parlamentu, jak wiadomo, nie pobierają dyet, trudno ich więc utrzymać przez czas dłuższy w Berlinie. Już teraz, po załatwieniu sprawy ceł rolniczych połowa posłów rozjechała się do domu. Na tem zaś opierają swe nadzieje *socyaliści*. Są oni przeciwni cłom zbożowym wogóle, a tem samem całej nowej taryfie. Gdy więc parlament nie będzie *zawsze* w komplecie, zdolnym do uchwał, będą stawiali wnioski o wyliczenie posłów i w ten sposób udaremniali wszelkie uchwały. Niedługo zaś parlament czemś innem, nie mniej ważnem będzie się musiał zająć, a mianowicie uchwaleniem *budżetu* na rok przyszły. Łatwo więc być może, iż sprawa taryfy zupełnie się *zabagni*. I ze względu na to wzywają już niektóre organa rząd, ażeby wogóle *cofnął* całą taryfę i starał się kwestyą ceł i nowych traktatów handlowych w inny jaki załatwić sposób.

Łatwo to radzić, ale wykonać trudno. I oto cechą obecnej sytuacyi jest *niepewność*, niepewność, która ciąży nad całem życiem i ruchem ekonomicznym w kraju. Jak długo to potrwa, Bogu jedynie wiadomo.

Właściwie więc nie mamy powodu spierać się między sobą o wyższe lub niższe cła rolnicze czyli zbożowe, bo niewiadomo zgoła, co się z niemi stanie? Ale chociażby rzeczywiście uchwalić miano wyższe — to i tak posłowie nasi nie będą temu winni. Okazało się bowiem, że głosy ich nie zaważą na szali, że i bez nich zwolennicy wyższych ceł stanowią większość w obecnym parlamencie.

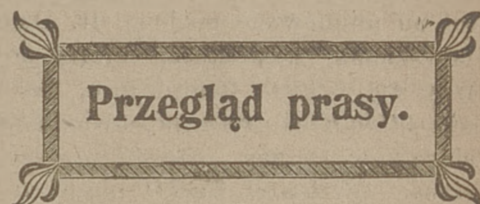
Taką jest sytuacya obecna w *Niemczech*.

Nie mniej niepewną jest obecna sytuacya w *Austryi*. Przeciwko forytującej Niemców na każdym kroku gospodarce dr. *Koerbera* burzą się coraz bardziej wszystkie żywioły słowiańskie.

Stronnictwa *czeskie* zawarły z sobą przymierze, zobowiązujące je do solidarnego zwalczania obecnego rządu. Niezadowolenie ogarnęło już także *Koło* polskie, chociaż rząd nie szczędził starań, aby je znów przeciągnąć na swoją stronę i przy jego pomocy utworzyć niemiecko polską większość. Koło ma bowiem szczególne powody do niezadowolenia. Zasiadający w niem wielcy właściciele ziemscy gniewają się o to, że rząd zamiast zwalczać uroszczenia Rusinów w wschodniej Galicyi, raczej je jeszcze podnieca. Ogół zaś polski burzy się słusznie, że w przedłożonym Radzie państwa budżecie opatrzono Galicyą znów bardzo *po macoszemu*. Świeżo zaś zaszły wypadki, które raz na zawsze chyba odbiorą Polakom chęć do wszelkich sojuszów z Niemcami. W chwili oto, gdy rząd i stronnictwa niemieckie w Wiedniu ciągną Polaków ku sobie pochlebstwami — Niemcy osiadli w *Bielsku* na Śląsku austryackim dopuścili się względem Polaków wręcz haniebnych gwałtów. W mieście tem, położonem tuż nad granicą galicyjską, obok również przez Niemców zamieszkałego miasta *Białej*, miało się w niedzielę dnia 19-go z. m. odbyć otwarcie „domu polskiego" — założonego przez ks. Stojałowskiego. Na wieść o tem *magistrat (!)* wezwał mieszkańców niemieckich, aby uroczystości tej gwałtem przeszkodzili. Gdy więc zbierać się zaczęła publiczność polska, gdy pociągi przywiozły z miast sąsiednich niewielkie zastępy gości, motłoch niemiecki rzucił się na nich, wielu poturbował do krwi, w „domu polskim" szyby powybijał i znieważał Polaków na każdym kroku. Państwowe i miejskie władze policyjne patrzały zaś na to obojętnie i spokojnie i nie wzięły w obronę Polaków. Podobnych wybryków dopuszczają się zaś także Niemcy, osiadli w koło *Białej*, w *Halonowie* i w *Lipniku*.

Stanowią oni w tych miejscowościach większość, jakkolwiek cała dalsza okolica jest rdzennie polska. Sprowadzili ich tamdotąd ojcowie nasi, a oni, jak wszędzie, dorobiwszy się, tak się nam odwdzięczają, iż napadają Polaków na drogach i ulicach, podpalają domy polskie a nawet księży znieważają. Koło polskie wniosło z tego powodu *dwie interpelacye* w Radzie państwa i pewnie upomni się u rządu, ażeby Niemców trzymał na wodzy, przynajmniej w *polskim kraju*. Swoją drogą podziwiać trzeba cierpliwość braci naszych w Galicyi. Gdzieindziej nauczono by Niemców rozumu tak, iżby na Polaka ani *„krzywo spojrzeć nie śmieli."* Ciekawyśmy coby się stało, gdybyśmy, Polacy w zaborze pruskim, w ten sposób postępowali wobec Niemców! Zapewne by nas wystrzelano i wycięto do nogi. Ale i na Niemców może kiedyś jeszcze przyjdzie kreska. Mamy też nadzieje, że i *Koło polskie w Austryi* postawi się stanowczo i pokaże Niemcom, iż są tylko mniejszością w państwie.

K. O.



Przegląd prasy.

Niestety, zdaje się, że ożywiona dyskusya w prasie naszej w *sprawie ceł i solidarności w Kole* okaże się na razie bezowocną, że wszystko pozostanie, jak było przedtem. Dyskusya sama już słabnąć zaczyna, dogasa lub schodzi na manowce. Rezultat jej w ten sposób określić by można: Większość prasy oświadczyła się przeciwko cłom — lecz za utrzymaniem solidarności w Kole. Koło polskie w Berlinie tymczasem głosowało — *za cłami*. Ci bowiem posłowie, którzy w myśl większości prasy byli przeciwni cłom

— dla popieranej przez tę większość solidarności przeciwko cłom głosować nie mogli. Niektóre pisma nasze wymieniają po nazwisku tych posłów, którzy głosowali za cłami, a tych którzy głosowali przeciwko nim — *w Kole*, lub którzy usunęli się od głosowania w parlamencie. Naszem zdaniem nie ma to celu ani sensu. Bo jeźli ma być utrzymana zasada *bezwzględnej* solidarności, w takim razie też wotum pojedyńczego posła nie ma dla ogółu znaczenia, lecz liczyć się trzeba tylko z wotum całego Koła, spowodowanem przez jego większość.

Ale mniejsza o to! Dość, że stało się coś, przeciwko czemu oświadczyła się większość prasy — a to dowodzi tylko, jak mało wpływu ma jeszcze ta *większość* prasy, złożona z mniejszych *ludowych* organów — na sprawy nasze.

Na razie więc nie popchnęliśmy spraw tych ani na krok naprzód. Mianowicie kwestya *Ślązka*, która powinna była w tej dyskusyi *górować nad innemi i decydować* o wszystkiem, zepchnięta znów została nadal w szkodliwem... *„zawieszeniu.“* Czy się tak dobrze stało, rychła już przyszłość pokaże. My wątpimy o tem.

Jedyny skutek, jaki dyskusya ta wywarła, był ten, że poseł *dr. Dziembowski*, uzasadniając głosowanie Koła polskiego za cłami w parlamencie, wziął w rachubę także dobro szerokich kół ludności robotniczej i miejskiej. Że przytem doszedł do wniosku, iż wyższe cła na zboże także dla tej ludności będą korzystne, to już jego rzecz i na tem miejscu o to z szanownym posłem spierać się nie możemy. Przeciwko zdaniu jego wystąpił bardzo stanowczo *„Dziennik berliński,“* który wogóle pod nową redakcyą wyrabia się na organ bardzo poważny. Zarzucił on mianowicie posłowi dr. Dziembowskiemu *nieścisłość*, której dopatrzył się w jego twierdzeniu, jakoby *wszystkie Kółka rolnicze*, a więc mniejsi rolnicy u nas *oświadczyły się za cłami. „Dziennik Berl.“* pisze:

„Niech poseł dr. Dziembowski raczy przeczytać ostatni „Rocznik Kółek włościańskich“, przekona się z niego, że w ciągu ostatniego roku sprawozdawczego, w którym kwestya ceł była na porządku dziennym w świecie rolniczym, z pomiędzy 231 Kółek tylko w 8 sprawa ta była omawianą. A i w tych 8 Kółkach omawiał ją nie czasem jaki reprezentant drobnej własności ziemskiej, włościanin gospodarz, nie, rzecznikami ceł byli albo wielcy właściciele ziemscy, albo księża. I tak 1) w Kółku w Kościeszkach mówił „O cle“ ks. Józewicz, 2) w Kółku Kościańskiem odczytano rozprawę „O nowej taryfie celnej“ z „Ziemianina“, organu wielkiej własności ziemskiej, 3) w Kółku w Mogilnie miał wykład „O cłach ochronnych“ reprezentant większej własności ziemskiej p. Chrzanowski z Gozdawy, 4) w Kółku w Siemianicach mówił o nich ks. Klementowski, 5) w Kółku w Rzegocinie, kierowanem przez samego Patrona Kółek włościańskich p. Józefa Chłapowskiego, był także wykład „O cłach ochronnych na zboże.“ Kto go wygłosił? — w sprawozdaniu nie powiedziano, 6) w Chojnie mówił o cłach najżarliwszy agraryusz polski dr. Roman Komierowski, 7) w Otorowie p. hr. Władysław Łącki, 8) w Mieścisku rządzca Klejnert z Zakrzewa.

„I wobec tych niezbitych faktów twierdził poseł Dziembowski z publicznej trybuny w parlamencie, że wszystkie Kółka włościańskie, liczące 12.500 członków, oświadczyły się za podwyższeniem ceł!“

„Goniec Wielkopolski“ o mowie posla Dziembowskiego tak się wyraża:

„Przyznać musimy, że wystąpienie posła p. dr. *Dziembowskiego* odznacza się zgrabną sztuką dyplomatyczną, obliczoną na obrobienie umysłów w naszem społeczeństwie na rzecz interesów kastowych a przeciw interesowi ogółu. Na szczęście wyrobienie polityczne wśród naszego społeczeństwa już do tego stopnia się rozwinęło, że choćby najzgrabniejsze manewry dyplomatyczne nie zdołają zaćmić prawdziwego interesu narodowego. To też mowa p. posła dr. Dziembowskiego w niczem nie zmieni naprężenia i rozgoryczenia wśród naszego społeczeństwa, którego olbrzymia większość przeciwną jest cłom w dobrze pojętym interesie własnym.

„P. dr. Dziembowski najwidoczniej wniknął w sentencye naszego ogółu, mówiąc, *„że wogóle ceł samych nie uważamy za coś szczególnie dobrego.“* Mowa jego była tęgą mową adwokacką, lecz niestety nie zawsze choćby najzgrabniejsza mowa adwokacka jest w stanie z czarnego zrobić białe. Nie da się też podtrzymać rzekoma obrona polskiego robotnika, choćby wiejskiego, takim naprzykład argumentem, że jak z powodu ceł rolnictwo lepiej będzie stało, to i większe myta będzie brał robotnik, co jest rzeczą bardzo a bardzo względną. Tak samo względną jest rzeczą zaznaczana przez posła p. dr. Dziembowskiego zależność miast od wsi, bo właściciel ziemski zaspokaja swe niezbędne potrzeby w naszych miastach i miasteczkach, a pytanie wielkie, czy, gdyby dobrobyt jego się wzmógł odpowiednio, nie zapragnąłby sprowadzać rzeczy zagranicznych, jeździć za granicę, używać itp.“

Głos ten podajemy na dowód, jakie *roznamiętnienie* zaczyna już ogarniać prasę naszą w sprawie ceł — nie godząc się bynajmniej na wszystko, co „Goniec“ o tej sprawie napisał.

B. M.



Sprostowanie.

W „Przeglądzie prasy“ w ostatnim numerze pisma naszego mieścił się ustęp tej treści:

„Z posłów oprócz pp. Chrzanowskiego i Głębockiego zabrali jeszcze głos pp. *Janta-Połczyński i dr. Krzymiński* z Inowrocławia. Pierwszy stanął stanowczo na podstawie, że wysokie cła są wprost konieczne *dla nas*, zapomniał atoli wziąć w rachubę także.... *Kaszuby i Ślązk*“ itd. itd.

Z powodu ustępu tego pisze nam pan poseł *Janta-Połczyński:*

„Przeglądając dziś „Pracę,“ znajduję ku wielkiemu memu zdziwieniu w jej *Przeglądzie prasy* wiadomość, jakobym przemawiał *w Kole za cłami.*

Nie wiem, gdzie Szanowny Autor *„Przeglądu prasy“* czerpał szczegół ten, gdyż jest on dla mnie nowością.“

Niestety — zaszła tu *podwójna obustronna* pomyłka. Czcigodny pan poseł źle zrozumiał ustęp powyższy, przypuszczając, że odnosi on się do głosowania w *Kole polskiem. W „Przeglądzie prasy,“* jak już sam tytuł wskazuje, rejestrujemy nie parlamentarne vota posłów naszych, lecz głosy *prasy*, względnie głosy obywatelskie i poselskie, publikowane *w prasie.* Wzmianka powyższa odnosi się więc nie do głosowania w Kole — lecz do interwiewu, jaki miał współpracownik *„Kuryera Poznańskiego“* z posłem *dr. Krzymińskim* oraz do *artykułu, jaki się pojawił w „Dzienniku Poznańskim w numerze 242 z dnia 19-go października.* Tu atoli popełnił błąd także autor naszego Przeglądu prasy. Artykuł ów, na który się odwołuje *nie pochodzi z pod pióra p. posła Romana Janta-Połczyńskiego, lecz z pod pióra pana Wł. Janta-Połczyńskiego z Redgoszczu.* Z całą więc gotowością prostujemy tę pomyłkę, przepraszamy za nią pana Posła i stwierdzamy, że ustęp odnośny *nie odnosi się do Niego.*

Dyskusya w sprawie ceł była tak ożywioną, materyał zdań i głosów tak obfity, iż zapewne zarówno pan Poseł, jak i Czytelnicy nasi raczą wybaczyć autorowi Przeglądu prasy to niedopatrzenie.

Redakcya.



Dział illustrowany.





NA DZIEŃ ZADUSZNY.

Na ciche groby pada mgła,
Ponura mgła jesieni,
Smętne „requiem“ w górze drga,
W ponurej mknie przestrzeni.
Na ziemi zwiędły leży liść
Z pożółkłą różą zmiętą, —
Oto tłum zmarłych ma dziś przyjść,
Obchodzić swoje święto.

Gdy już umilknie płacz i jęk,
Gdy drżące lampki zgasną,
Powieje światem dziwny lęk
W noc od miesiąca jasną,
Powieje światem dziwny strach,
A nikt nie zgadnie z czego,
I nagie drzewa zadrżą w łzach,
W łzach deszczu jesiennego.

Oto wybiła północ już,
Zaziemskich widm godzina,
Pokutujących orszak dusz
Swój pochód rozpoczyna.



Każdej ból serce drze na ćwierć,
Łzy gorzkie każda roni, —
A przodem idzie żółta śmierć
I ostrą kosą dzwoni.

Te wszystkie dusze, które tu
Przeżyły wiek swój marnie,
Rzucają ciche łoże snu
Na troski i męczarnie.
Te wszystkie dusze, które świat
Przebiegły bez kochania,
Poczucie winy tnie, jak kat,
W noc straszną zmartwychwstania.

I widzą one ile-by
Dobrego mogły czynić,
I muszą krwawe ronić łzy
I muszą siebie winić.
I spokojnego pragną snu,
Co pamięć ich uśmierca,
Wszystkie istnienia które tu
Przeżyły wiek — bez serca!

Or-ot.



CMENTARZ.

Święto umarłych.

Pełna smutku i melancholii polska późna jesień. Pożółkłe liście, jak ptaki celną strzałą śmiertelnie ranione, padają na ziemię; z za opony ołowianych chmur coraz rzadziej przebija złocista twarz słońca; zasępiony poranek budzi świat ze snu, mglisty wieczór do spoczynku układa.

W chwili takiej, gdy natura cała zamiera, a człowiek przygotowuje się zwolna do spędzenia długich, przykrych miesięcy zimowych, przypada pełne smutku i tęsknej powagi Święto umarłych.

Oderwani na chwilę od hałaśliwego turkotu powszednich trosk, uciech i kłopotów, śpieszymy do miast umarłych — do miast, gdzie panuje cisza i spokój, obejmując w uścisku jedności i marmurowe nagrobki bogaczy i porosłe trawą mogiły nędzarzy. Wzrokiem przykuwamy się do tych jedynych śladów na ziemi osób nam drogich, myślą biegniemy w krainy pozaziemskie z korną modlitwą, szczerem westchnieniem...

Nie zapominajmy przedewszystkiem w Dniu zadusznym o jednym, wielkim, wspólnym grobie, tak wielkim, jak wielką jest ziemia polska — o grobie, w którym pogrzebano wolność naszej wspólnej Matki — naszej Ojczyzny.....

Nie zapominajmy w dniu tym o tak licznych, bardzo licznych mogiłach i grobach, w których śpią obrońcy i bohaterzy naszej Ojczyzny, w których śpią snem wiecznym ci, którzy za wolność Polski w bojach krwawych legli, nie doczekawszy się wolności brzasku....

Cześć Wam! Polski pokutnicy!
Cześć Wam! cześć Wam męczennicy!
Wy, najdroższe Polski dzieci,
Niech Wam światłość wieczna świeci,
Wy zwycięzcy, choć polegli,
Wy, coście nas tu odbiegli!.....

Po kornej modlitwie, po szczerem westchnieniu na grobach, powracamy z miasta umarłych jacyś potężniejsi na duchu, śmiesznymi poprostu wydają nam się zabiegi i krzątanina łaknącego zaszczytów i bogactw świata, z uczuciem lekceważenia spoglądamy na spadające na innych niezasłużone częstokroć łaski i wyróżnienia.

Gdybyśmy częściej odwiedzali miejsca wiecznego spoczynku naszych blizkich sercu i pamięci, kto wie, czy część naszych zapatrywań nie przybrałaby innego kierunku: więcej wyrozumiałego, zgodnego z duchem chrześcianina w całem tego słowa znaczeniu.

—ski.



PIEŚNIARZ.

Idzie jesień w szary ranek
Po przez polne mgły,
Z zwiędłych liści wije wianek,
Zimne roni łzy.

Za cmentarne idzie wrota,
Stroić groby w liść —
Gna od ludzi ją tęsknota,
Kędyż wdowie iść! ..

Pieśniarz leży na cmentarzu,
Pod mogiłą śpi...
„Obudź ty się mój pieśniarzu,
„Pieśń zaśpiewaj mi!..

„Zaklnij ty w niej smutki moje,
„Zlej w nią moje łzy,
„Ja ci lutnię twą nastroję,
„Wszakżeś pieśniarz ty!...

„Z złotych liści wianek splotę
„Na twą bladą skroń,
„Śpiewaj ból mój i tęsknotę,
„Lutnię ujmij w dłoń!"....

W grobie jakby echo jękło,
Darń mogilna drga —
Pieśniarzowi serce pękło,
Czemże śpiewać ma?...

Nie wypuści go z objęcia
Grobu sroga cieśń,
Próżne prośby i zaklęcia, —
Z sercem pękła pieśń...

n.

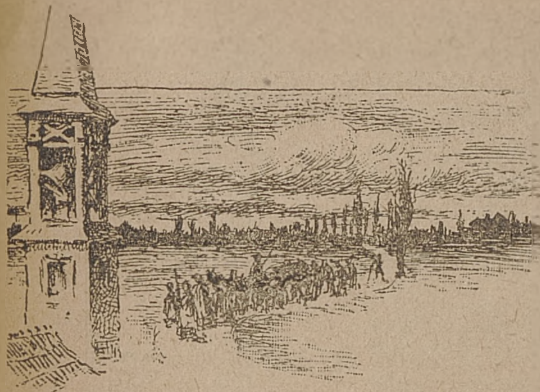




Jan Styka.

Śmierć skazańca w kopalniach syberyjskich.

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy,
Na Twoje łono, do Twoich gwiazd,
Modlitwą płyniem, jak senni ptacy,
. . . .
Niech nas męczeństwa otoczy blask.



Kronika żałobna.

(SZKIC Z ŻYCIA.)

To dziwne od pewnego czasu z niezwykłem zajęciem czytuję jeden szczególnie dział w dziennikach, dział może najskromniejszy ze wszystkich, zajmujący najpośledniejsze miejsce w gazecie tak, że go nie widać prawie z poza „kroniki,“ a „wiadomości bieżących.“ Nie wiem, czy się domyślacie co to za dział — to „kronika żałobna.“

Prawda jaki skromny, wtulony gdzieś w sam kącik pisma, a tłoczony literami tak drobnemi, że często można go wziąć w pospiechu za...... listę przyjezdnych. Co za analogia między jednem a drugiem, pierwsze to niby lista odjeżdżających, drugie przyjeżdżających; tak ale gdy ci przyjeżdżają dla ruchu, dla życia, dla interesu, dla zabawy wreszcie, to tych odwozi czarny, w kir odziany karawan niby straszny, demoniczny rydwan śmierci, albo wynoszą ukochane dłonie; gdy jednych witają krewni, znajomi lub cudny śmiejący się świat, to tym towarzyszy łkający, rozdzierający serce śpiew pogrzebowy i jęk ukochanych istot.

Ale dziennik tem się bynajmniej nie wzrusza, ze skrupulatnością urzędnika prowadzącego księgę umarłych notuje nieboszczyka imię, nazwisko, zatrudnienie, podaje cyfrę wieku i ze spokojem przechodzi do następnego. Lecz mię aż dreszcz przejmuje, gdy się wczytam czasem w tę kronikę; ile tragedyi mieści się tam nieraz w jednej nieznaczącej cyfrze, ile rozdzierającego bolu, ile krzyku rozpaczy w jednem jedynem słowie.

Ot dziś naprzykład skoro rzuciłem wzrokiem na tę kronikę odczytałem zaraz na wstępie:

„Anna Wojtyńska, córka stróża, seminarzystka, lat 17, gruźlica płuc.“ — Nicże te słowa wam nie mówią, nie odczuwacie, nie wyobrażacie sobie tej strasznej, bolesnej tragedyi, która rozegrała się tam w ciemnych suterenach lub cuchnącej oficynie. To młode dziewczę już dzieckiem odczuwało to poniżenie, w jakiem żyją rodzice, w jakiem i jemu może żyć przyjdzie, nosiło w sercu swem pragnienie innego życia, czuło się uzdolnionem, a zatem i uprawnionem do wywalczenia sobie tej pozycyi towarzyskiej, jaką daje inteligencya. Całym zasobem młodych, żywotnych, świetlane nadzieje budzących sił chciała się wydostać z tej sfery, w którą cisnęło ją urodzenie, jak zbłąkany, pnący się ku szczytom podróżnik, wytężała swe młodzieńcze dłonie, by się wdrapać choć o jeden szczebel wyżej... Lecz niestety..... pokrwawiła tylko ręce i stoczyła się w przepaść, w śmierć....

I na marne poszły te noce bezsenne, te dnie spędzane na lekcyach, na marne te ducha wysilki; zbiedzony na dwie strony organizm zjadła gruźlica. — I dzisiaj tam w stancyjce leży już spokojna, blada, niczego od życia nie żądna, świece tylko rzucają jej na lice drgający, trupi blask. A ojciec patrzy w nią, w tę zorzę swą, nadzieję swą wzrokiem stężałym, niemym z bolu, czuje, że mu przed oczyma otwiera się jakaś straszna, bezdenna otchłań, w którą stacza się gmach jego marzeń. To pierwsza kartka „żałobnej kroniki......“ co dalej?

„Franciszek Strzecha, szeregowiec lat 21, samobójstwo......“ Młody był, nie znał świata. To niebo sine, to słonko jasne, srebrne, co mu się śmiało, gdy z kosą szedł na łąkę, ta ruń pod lasem hen ginąca, kędy chłopcem krówki ganiał, ta wioska cicha, nad którą trzepotały się stada jaskółek, ten kościółek drewniany, gdzie co niedzieli brzmiało „Święty Boże!“, gdzie pod kazalnicą Kaśkę widywał kochaną, swoją.... to świat był jego. Nie dano mu w nim żyć, wzięto go w rekruty i popędzono w obcy, daleki świat. Zamknięty w szarych murach koszar, nie mógł znieść tych wszystkich udręczeń, jakich mu nie szczędzili przełożeni, dusza wyrywała mu się ciągle do stron rodzinnych, kochanych. Czasem wściekłość targała nim, zdawało mu się, że jedno słowo jeszcze, jeden ironiczny uśmiech, a rzuci się na zgraję, co znęcała się nad nim, co torturowała go swą mową, swym śmiechem, swem wyzywaniem wszystkiem, zdawało mu się, że przełamie ten mur, wyrwie się stąd i ucieknie hen, hen gdzie jego drogi, daleki świat, czasem znów zdejmowała go żałość straszliwa i poczynał łkać jak dziecko, co radeby żal swój na czyiś otulić piersi. Ot dzisiaj właśnie, kiedy kamraci zaczęli śpiewać o tym żołnierzu, co to nie mogąc wytrzymać przy wojsku uciekł hen do swoich i co to go zato na śmierć wiodą, zrobiło mu się strasznie czegoś, zdawało mu się, że go tu zamknęli już na wieki, nie wypuszczą nigdy i nigdy już nie ujrzy swojej wioski, ni chaty swojej drogiej, ni Kaśki, i przyjdzie zmarnieć tutaj jemu młodemu daleko od swoich, ach tak daleko! — I nie widział żadnej ręki, któraby go z tej przepaści wyrwała, nie czuł żadnej piersi, co by ukoiła żal jego, tęsknotę jego.... nie widział innego ratunku ino śmierć, ponieważ ta przyjść nie chciała poszukał jej sam.

„Adam Mierzeński, oficyalista prywatny, lat 51, apopleksya.....“ Był człowiekiem, na którego zawziął się los, jak powiadano. Z całego jego życia jedno chyba dzieciństwo miało dla niego jakieś miłe wspomnienia..... O pamiętał dobrze te czasy, kiedy to stary Maciej przywoził go z miasta na wakacye do domu, pamiętał dobrze tę wieś, ten dwór ojcowski, gdzie go witano z taką uciechą, pamiętał do śmierci ten wieniec lip, których szum tyle dum mu nucił, pamięta te śliczne wieczory przegwarzone sam na sam z ojcem, pamięta, pamięta, lecz to tak prędko gdzieś zniknęło. Przyszła epoka jakiegoś dziwnego niepokoju, jakiegoś ruchu gorączkowego, ojciec począł wyjeżdżać na dnie, na tygodnie całe, do dworu zajeżdżali coraz to nowi goście niewidziani nigdy, obcy.... Wreszcie nastąpił wybuch... Zaraz w pierwszych dniach aresztowano i wywieziono ojca, co się z nim dalej stało, nie dowiedział się nigdy.

Dwór skonfiskowano, jego wziął w opiekę wuj i posyłał dalej do szkół. Uczył się dobrze, lecz wiedziano czyim jest synem; stygmat nielegalności przylgnął jak skorpion do jego czoła. Gdy kilka zaledwie miesięcy brakowało mu do ukończenia gimnazyum, aresztowano go na podstawie jakichś nieokreślonych podejrzeń i trzymano dwa lata w cytadeli. Nie przyznał się do niczego, dla braku dowodów wypuszczono go, nie pozwalając jednak kończyć szkół w obrębie carstwa. A potem?.... potem był jakiś czas nauczycielem prywatnym, nie pozwolono mu uczyć, dostał miejsce przy jednem z pism, poczęto tak szykanować redakcyę, że musiała go oddalić, wreszcie wstąpił do biura przy jednej z handlowych firm. Tutaj szło już lepiej, zyskał zaufanie szefa, wysłano go do Ameryki, wahał się, lecz w końcu przyjął, płacono mu doskonale. Teraz starał się zapomnąć o przeszłości, rzucił się w wir interesów i to sprawiało mu pewną ulgę, lecz nie na długo.

Wkrótce odżyły dawne wspomnienia, pamięć ziemi, z której wyszedł

stanęła mu jak żywa przed oczyma i poczęła wołać ku sobie, jakimś olbrzymim żywiołowym głosem życia. Starał się oprzeć, lecz czuł, że sił mu nie stanie, że zje go tęsknota. Rzucił więc wszystko i powrócił do kraju. Zaczęła się nowa wędrówka z miejsca na miejsce; ile się w tym czasie nacierpiał, ile walk przeszedł i upokorzeń, Bóg jeden wie — on o tem nie wspominał nigdy, nieszczęścia bowiem tak zahartowały tę biedną duszę, że wszystko, co go spotkało, uważał za naturalny, konieczny bieg rzeczy.

Wreszcie i jemu pozwolił los zawinąć do przystani; przed pięcioma laty opróżniła się w posiadłości pewnego hrabiego w Poznańskiem posada rządzcy, dawni znajomi polecili go, został przyjęty. Z początku nie chciał wierzyć w to, nie mógł oswoić się z tą myślą, by promyk szczęścia i dla niego był stworzony, czuł, że w życiu jego dokonuje się jakiś wielki, niebywały przełom. Zatrudnienia gospodarskie zajęły go, praca wolna była dla niego rozkoszą, zdawało mu się, że wracają dawne czasy, kiedy to znał jeszcze zagon swej własnej ziemi. Przed dwoma laty umarł stary hrabia, dziedzictwo objął jedyny syn jego, bawiący za granicą. Rzeczy szły dalej starym trybem, gospodarstwo rozwijało się stale, w tem przedwczoraj przychodzi telegram, że wszystkie dobra sprzedał młody hrabia p. Beckerowi, Niemcowi z Prus; stary rządzca nie doczytał telegramu.... pękło mu serce! —

To pierwsza karta z „kroniki żałobnej,'' a takich kart miliony zawiera kronika życia!.....

Eugeniusz Kucharski.

Lwów, 19. X. 1902.

NOC.

Północ poważnie głoszą zegary,
Noc zsyła światu spokój i czary,
Senność na sioła i miasta spływa,
W ciszy też polska wieś odpoczywa.
Księżyc rozsypał srebro w wód fali,
Głucho... gdzieniegdzie tylko z oddali
Biegnie westchnienie piersi gorącej
W niebios sklepienia, z duszy marzącej.
Zamilkły piosnki, skargi i bóle,
Noc wszystkich do snu kołysze czule,
I marzeń jasnych motek rozsuwa;
Nad wioską Matki Bożej dłoń czuwa,
Stamtąd, gdzie gwiazdek złocistych roje,
Błogosławieństwo śle ona swoje,
Na piękną naszą, tę polską ziemię,
Ta Matka Boża w złotym dyademie.

Władysław Karoli.



Nasze illustracye.

„Boleść matki.“ — Reprodukcya albumowa pięknego obrazu ziomka naszego, artysty-malarza T. Krudowskiego, przedstawia rozpaczliwą chwilę bolejącej matki nad trupem dziecka, które niebawem ma być ubrane w białą sukienkę i złożone w trumnience. Obok leżą przygotowane wieńce, a w głębi obrazu za palącemi się świecami rozpacza babcia, pogrążona w smutku, nad stratą ukochanego wnuczka. Podajemy reprodukcyą tego pięknego obrazu na Dzień zaduszny jako pewną aktualność chwili.

* * *

„Śmierć skazańca w kopalniach syberyjskich.“ — Reprodukcya pięknego patryotycznego obrazu pędzla Jana Styki, twórcy „Polonii“, obrazuje nam rzewną bardzo i żałobną chwilę z życia naszych męczenników, skazańców syberyjskich. Oto wycieńczony ciężką bardzo, nadludzką pracą, w tamtejszych kopalniach, umiera nagle jeden z skazańców. Żona i córka, które dobrowolnie poszły na Sybir dzielić okropną niewolę ze skazańcem, boleją nad zwłokami męża i ojca w otoczeniu współtowarzyszów zmarłego. Bardzo bolesnej tej scenie przypatruje się zdala stojący na straży żołnierz. Obraz przemawia do serca widza tak swą rzewną treścią, że wyciska mimowoli łzę z oczu. Reprodukcyę zamieszczamy na stronie 1141.

* * *

„W dzień zaduszny.“ — Na cmentarzu pod krzyżem i wśród mogił klęczą i modlą się skrzydlate anioły w smętnej zadumie. To anioły ciszy, spokoju, ukojenia i wieczystego snu, towarzysze grobów, odbywają straż na „Bożej roli.“

Ten piękny i poetyczny pomysł niepospolicie utalentowanego artysty, który w wyborze tematów zawsze wyróżniał się podniosłością i szlachetnością motywów, przemawia do serca i wyobraźni widza zarówno swą treścią, jak i estetycznem jej wcieleniem. Reprodukcyę zamieszczamy na stronie 1145.

* * *

„Lampy życia.“ — Istnieje bardzo dawna, czasów pogańskich sięgająca legenda, że każdy człowiek ma swoją gwiazdę, która z chwilą urodzin zaczyna świecić, a przy zgonie gaśnie, niby płomień świecy. Bodaj czy z tą legendą nie łączyła się i astrologia, wróżbiarstwo zabobonne, polegające na odgadywaniu przyszłych losów człowieka i stawianiu horoskopów z gwiazd. Ślad owych wierzeń przechował się do dni naszych w mowie poetycznej, a nawet potocznej, kiedy się powiada: „jasna gwiazda przyświecała mu w życiu“ lub „urodził się pod dobrą gwiazdą,“ albo też „gwiazda szczęścia zagasła.“

Lud dziwne wierzenia pogańskie i kult różnych sił przyrody starannie przechowuje i nadaje im podkładkę chrześcijańską, ztąd wytwarzają się nowe legendy, których źródła przecie zawsze w poganizmie szukać należy.

Do takich legend, znanych w wielu okolicach, zalicza się i następująca, która posłużyła artyście do odtworzenia obrazu, jaki reprodukujemy w dzisiejszej „Pracy“ na stronie 1146.

Podług tej legendy, owe gwiazdy świecące na niebie, nie są czem innem, tylko płomykami lamp życia. Tam w niebiesiech w momencie narodzin człowieka zapala się lampa, która płonie dotąd, dopóki trwa życie. Siła natężenia płomienia lampy bywa różną i pozostaje w ścisłym związku z biegiem żywota ludzkiego.

Dalej legenda wspomina, że pieczę nad owemi lampami życia Bóg powierzył aniołom stróżom, którzy nieustannie krążąc po świetlanym horyzoncie, pilnują owych płomyków.

W wielu stronach kraju lud podczas zjawiska, zwanego spadaniem gwiazd, utrzymuje, że każda gwiazdka spadająca oznacza zgon jednego człowieka z najbliższej okolicy.

Pięknie z tej legendy skorzystał Syrokomla w swej gawędzie p. t. „Trzy gwiazdki,“ w której jest taki ustęp:

Mówią ludzie,
Że każdy człek na niebie ma swą gwiazdkę [własną,
Że jej bystra źreniczka spogląda zdaleka
I strzela promykami tak ciemno, lub jasno,
Jak ciemna, albo jasna dola jej człowieka.
Że gwiazdy tych, co idą szczęśliwą koleją,
Piękną iskrą na sinem niebie promienieją,
Ot, jak ta, co Pan widzisz, co się w lewo [żarzy;
A te gwiazdy drobniutkie — to gwiazdy nę-[dzarzy,
Tleją.. ot! jak ogarek lampy na pogrzebie.
I mówią, że gdy człowiek snem śmiertelnym [zaśnie,
Wtenczas i gwiazda jego stoczy się po niebie,
Błyśnie wężykiem i zgaśnie.

—ski.



Płaczę, lecz wierzę...

Był dzień Zaduszny! Na cmentarz szli różni
Jakby na odpust pobożni podróżni.
I jam szedł, myśląc, że Pan Bóg się wzruszy
I znajdę ulgę dla serca i duszy.

Szedłem wśród grobów okrytych kwiatami,
Błyszczących światłem — a niejedne łzami;
Te łzy serdeczne, to łzy matek, dzieci,
A każda łezka tam jak gwiazdka świeci.

Bo w dniu dzisiejszym te sieroce łezki
Zabiera z mogił Stróż anioł Niebieski,
niesie Bogu jak dań wziętą światu,
Godną jedynie Jego Majestatu!

) biedne Matki! coście utraciły
Skarby najdroższe — i wy co z mogiły
Wołacie: „Matko!" łączcie wspólne tchnienia,
Bóg w takich chwilach w miłość gniew przemienia!

* * *

Blizko kaplicy, zabrzmiał chór żałobny!
Chór ten do chórów anielskich podobny,
Brzmiał pieśń ojczystą modlącą się rzewnie,
By Pan Bóg przestał patrzeć na nas gniewnie.

Na „wspólnych grobach" zmarłych tu rycerzy,
Którzy walczyli w obronie, Macierzy,
Śpiewali żywi. — W grobach drgały kości,
yle w tym śpiewie było mar przyszłości.

dym się w śpiew wsłuchał, to mi się zdawało,
Że cienie zmarłych oblekły się w ciało
z hymnem żywych złączyli swe głosy,
By modł potężniej uderzył w niebiosy!

* * *

tych grobów szedłem na mogiły inne,
Gdzie legły zgasłe pochodnie rodzinne,
o przyświecały w żywota pochodzie,
Byś w manowce nie wstąpił Narodzie!

za łkała dusza rozmodlona ..
Może łzę anioł zdejmie z mego łona,
Bóg do stóp swych zanieść ją pozwoli;
Wszak ta łza moja: łzą sierocej doli!

aczę, bo pustki po nich pozostały ..
Znikają marnie święte ideały...
Materyalizm jak bujna pokrzywa
Kwiat Bożych uczuć przed sercem zakrywa.

aczę nad stratą, lecz wierzę ogromnie,
Wierzę wciąż tylko i zawsze niezłomnie,
oczy me ujrzą jasną tę chwilę,
Gdzie będziem zgodni, jak ci tam w mogile.

aczę dziś smutny, lecz wierzę serdecznie,
tak nie będzie bolesno mi wiecznie,
z grobu, na którym wiatr zimny wieje,
niks potężny ideał posieje.

ęc smutny choć w sercu wracam z cmentarza,
boka wiara dziś we mnie przeważa,
apał wznieca, w głąb duszy mej sięga,
ówi głośno: w wierze mej — potęga!

D.



NAD MOGIŁĄ.

Legenda cmentarna.

*

— Słyszysz ten cichy srebrny ton?
To jęczy tak podziemny dzwon
Co budzić duchy ma!
Już drga w powietrzu skrzydeł szum,
Płynie widziadeł cały tłum,
Coś śmieje się, coś łka.

Zmilkł gwar rozmowy, pogasły lampki, zapadły ze zgrzytem podwoje bram i gród umarłych zaległa cisza, zaległ spokój grobowy, cmentarny, wielki...

Życie wróciło do swego koryta, by z szumem płynąć niem dalej, płynąć bez przerwy, nieodmiennie, ku oceanowi przeznaczenia. Tu został tylko anioł śmierci, pielgrzymią odziany szatą i bez szelestu krążący między białemi grobowcami, z licem smutnie zadumanem.

I zostały się złowrogie Parki, z robotą swoją bezustanną, jak na szyderstwo snując nić istnienia, tu, gdzie ono znajdowało kres swój ostateczny. Lecz czyż nie z tych mogił właśnie wykwita nowe pokolenie, od samych początków ludzkiego bytu, stanowiąc łańcuch nieprzerwany, wiążący z sobą oba życia: ziemskie i pozagrobowe?

Więc była cisza ogromna, a nad tą ciszą płynęła zwolna noc, w całym swoim majestacie, z jasnym księżycem, nad senną głową, z chmurą zadumy u bladego czoła, w gwiaździsty płaszcz otulona i milcząca, jak wszystko dokoła.

Wieczystego spoczynku biednych męczenników, szukających ukojenia bólów swych i trosk, aż tu, w głębinach czarnej ziemi, rodzącej tyle głogów i cierni, nie zakłócało nic.

Czasem tylko brzękły zlekka drobne liście smutnej brzozy, poruszone nieuchwytnem westchnieniem zefiru; czasem upadła na zimny sarkofag kryształowa łza rosy jesiennej; czasem ciemne cyprysy pochyliły głowy, szepcąc sobie podsłuchane wieści zaświatowe, lub cienkie pasmo srebrzystej mgły objęło krzyż spróchniały... pozatem nic.

Tajniki grobów leżą spowite w bezmiar tej ciszy, której nie mąci żaden głos ziemski w owej uroczystej chwili. I daremnie słaby ludzki rozum pragnie się wedrzeć pod ciężkie granity, pod darń zieloną i piasek suchy, nie



Na grobie matki.



A. Rontini.

W dzień zaduszny.

znajdzie tam rozwiązania wielkiej, żywiowej zagadki, bo ziemia tego, co raz pochłonęła, nie zwraca już nigdy.... nigdy!...

Nigdy!... Czy jest ponad nie smutniejsze jeszcze słowo?... Czy jest drugie, coby brzmiało więcej beznadziejnie i większą w sercu budziło tęsknotę, gorętszy ból i żal?

W tem jednem: Nigdy!... mieści się wszystko, co tylko wieczna rozłąka ma w sobie najstraszniejszego i tylko głęboka wiara w istnienie duszy nieśmiertelnej łagodzi jego złowróżbny dźwięk.

Kojący balsam leje się w piersi na myśl, że kiedyś, tam, w górnych błękitach, znajdziemy się może wszyscy, znajdziemy i połączymy na wieki już, na zawsze.

Cały cmentarz okalał mur kamienny, gruby, a za tym murem leżały pola, w brunatne skiby pokrajane, leżał ugór zarośnięty kępkami zżółkłej trawy, leżały piaski czerwono-sine, i poznaczone kamieniami bielącemi zdala.

Padał na nie cień drzew, z po za muru wychylonych, i drżące swoje bezlistne ramiona wyciągających z trwożliwą litością, nad trzema mogiłami.

Smutne mogiły!... nagie, puste, pozbawione symbolu wiary, krzyża, i nawet dzisiaj, w noc święta umarłych, nie ozdobione najmniejszą drobnostką, świadczącą, że ktoś w pamięci je chowa i troszczy się o tych, co tu snem wiecznym śpią.

Własną swą ręką targnęli się oni na własne swoje życie, na to życie drogie nawet najnędzniejszej istocie, nędzarzowi i trędowatemu. Jakże więc bezgranicznie musi być nieszczęśliwy, kto zrywa je dobrowolnie, najczęściej w pełni młodzieńczych lat, bez względu na to, iż zakryta przyszłość nie jeden jeszcze promień słoneczny chować dłań może w swem łonie.

Smutne mogiły!... Jak krwawą tragedyę mieścić musi każda z nich.

Nad pierwszą z brzega, a snać najświeższą, stała wysmukła postać w czerni, z głową na piersi pochyloną.

Był to młodzieniec ciemnowłosy, o twarzy ściągłej, z cerą południowca: złotawo-oliwkową. Nos miał orli, wykrój ust prawdziwie kobiecy, oczy zaś płomieniste pod brwią aksamitną, patrzyły chmurnie, demonicznie, a jak w tej chwili, rozpaczliwie niemal i posiadały w sobie czar, któremu uledz musiał każdy, na kim spoczęły przez chwilę.

Ręce skrzyżował na piersiach i stał tak nieruchomo, iż zdał się być głazem; tylko linie ust kurczowo mu drżały z wewnętrznego cierpienia.

Naraz drgnął i porywczo odwrócił w tył głowę.

Za nim stał anioł śmierci, w szarym, mglistym płaszczu.

— Dlaczego koniec swojej pokuty cofnąłeś znowu w dal niezmierzoną? — szepnął on ze smutnem wejrzeniem.

— Czy ja jestem winien? — rzucił zagadnięty głosem, który drżał jak struna targniętej nagle liry.

— A któż podsunął temu nieszczęśliwemu myśl zbrodniczą stanięcia przed czasem u kresu, gdy był zaledwie w połowie swej drogi i miał jeszcze zdziałać tyle?... Zaliż zapomniał wyroku Pana, że:

— Za każdego takiego człowieka,
Co podeptał Boże przykazanie,
O wiek dłuższe czeka cię karanie,
O wiek dłuższa pokuta cię czeka?

Syn piekieł obie delikatne dłonie zanurzył w czarnych kędziorach.

— Czym ja zapomniał? — wyrzekł z rozpaczą. — Przeklęte ludzkie plemię!

— Za co je przeklinasz i nienawidzisz? Wszakże rad twoich chętnie słucha.

— Słucha, choć samo jest przewrotniejsze od wszystkich potęg piekła.

— Pokuty twoje to sprawiły.



L. Stasiak. Lampy życia ludzkiego.

— A czemuż im ulegają?... Ja pełnię tylko swą powinność, bo wszak dobrze wiesz:

— Gdy setny z rzędu oprze się mej sile,
Do bram niebieskich zbliżę się o tyle,
O ile z więzów grzechu wyzwolona
Ludzkość, zmazania mej winy dokona.

— Lecz praca nadaremna — dodał z goryczą. — Jeszcze trzech z rzędu nie naliczyłem, a przeciwnie, coraz częściej trafiają się tacy — tu wskazał ręką na mogiłę — co zamiast zbliżyć, cofają mnie wstecz od celu upragnionego.

Załamał ręce ponad głową, a coś, jak łkanie, nim wstrząsnęło. Z płomiennych oczu wystrzeliły iskry rozpaczliwego uniesienia.

— Przekleństwo! lecz nie tym, którzy upadają, gnani rozpaczy szałem, a tym, co dłonią bratobójczą w otchłań tę wiodą ich zbrodniczo! — wykrzyknął, dłoń zaciśniętą unosząc do góry. — Przez nich ja nigdy nie będę zbawiony, ale pomszczę się, strasznie pomszczę!...

I ciche fale nocnego powietrza rozdarł półjęk, półchichot spazmatyczny, dziki, który leciał daleko po zroszonej trawie, wpadł między stare olchy i modrzewie, by odbiwszy się o nie parokrotnem echem, napełnić sobą cały las.

W tem, kędyś w dali zapiał kur,
A czekający hasła wiatr,
Z szatańskim świstem chwycił wtór,
W piekielnym tańcu drzewa kładł,
Z wyciem na strzępy liście rwał,
Jak gdyby popadł w dziki szał.
Aż srebrnolicy księżyc zbladł
I skrył się w rąbek z chmur.

Natalia Bardzka.

„Jak ja się dawno nie modliłam...“

NOWELA.

Na otomanie krytej różowym pluszem, zmarszczywszy brewki nad wyrazistemi, czarnemi, oczyma, spoczywa „pierwsza naiwna.“

Młodziutki hrabia Kocio z twarzą o rysach dziecka porusza nad jej głową wachlarzem z piór białych; sławny ze swoich koni wyścigowych p. Aloizy, opowiada plotki z arystokratycznego świata.

Z sąsiedniej bawialni płyną dźwięki Szopenowskiego Scherza, niekiedy śmiech lub głośniejsze słówko.

„Naiwna“ ziewa, ukazując ząbki ostre, drobne jak u wiewiórki.

— Pani się nudzi? — spytał hrabia.

— To bardzo naturalne... — rzekł p. Aloizy.

— Kwiatom potrzeba słońca, zieleni łąk, błękitów niebios... Wszak kwiaty i piękne kobiety to siostrzyce.

— Ostrożnie, panie Aloizy! — przerwała „naiwna.“ — Złą obrałeś porę dla zachwytów wiosennych. Obyś się w mgłach jesiennych nie zabłąkał.

Hrabia Kocio zachichotał wesoło, rad, ze zbicia z tropu rywala.

— Ach, jakie nudy, jakie nudy! — poskarżyła się aktorka.

Zerwała się i pobiegła do okna.

Niebo wypogodziło się... Na widnokręgu pokrytym popielatej barwy chmurami, krwawo zachodziło słońce i w szary koloryt dnia jesiennego wrzucało jaskrawe blaski.

Ulicami śpieszą na cmentarz tłumy, aby uczcić wspomnieniem drogich zmarłych.

Lecz piękna Helena nie bawi się wspomnieniami.

Wprawdzie kędyś tam, na cmentarzu wiejskim, kilka smutnych sosen i cienia trawą zarosłe, mogiły jej rodziców, ale taka przepaść leży pomiędzy tą przeszłością ubogą, a teraźniejszością...

— Co począć z wieczorem? — spytała po chwili, odwracając się od okna z niechęcią.

Przeszli do salonu.

Kilka aktorek otaczało fortepian i grającego artystę.

Na widok wchodzących, znudzone twarze ożywiły się...

— Heleno, czy nie znalazłaś lekarstwa na nudy? — spytały. — Jedźmy na miasto.

— Owszem. Pojedziemy na cmentarz — odparła i, nie zwracając uwagi na zdziwione twarze gości, odeszła, białe batysty i koronki na pluszowy kostyum zamienić.

— Dziwaczka! — zawołała „dramatyczna“ — wzruszając ramionami. — Spacer na cmentarz... Osobliwsza przyjemność.

— Niesmaczny koncept — dodały inne. — Pan Aloizy śmiał się, hrabia Kocio rozmyślał, którego z nich uwielbiana Helena do karety swej zaprosi.

Zjawiła się wkrótce otulona w aksamity i pióra. Twarz jej promieniała zadowoleniem.

Znalazła nakoniec rozrywkę.

— Zobaczycie, jak zagram jutro Klarę w „Ślubach“ po tej wizycie na cmentarzu — mówiła otulając szyję futrzanem boa i zsuwając zalotnie na tył głowy czapeczkę.

„Dramatyczna“ z gniewem wciągała rękawiczki.

— Czuję zapach kopcących lampek i świec... rzekła opryskliwie.

Pojechali.

Na grobach pozapalano światła. Wiatr się uciszył, więc płoną jasno wśród ciemnej drzew zieleni. Zewsząd słychać gwar rozmowy, niekiedy płacz tłumiony.

Piękna aktorka zaciekawione spojrzenia zwraca wokoło; uśmiech nie opuszcza jej twarzy.

— Ślicznie tu... — mówi — i wesoło. Ktoby pomyślał, że śpią tu snem wiecznym serca, które kochały, usta, z pełnej czary pijące rozkosz, umysły, marzące o wielkości i sławie. Bardzo mi tu wygodnie.

Obejrzała się ciekawie.

— Czy przypuszczasz, hrabio, że ta zawoalowana dama opłakuje szczerze swego małżonka? — spytała, ujrzawszy pochyloną nad grobowcem postać.

— Tak sądzę. Nie szydź pani z boleści cudzej... — odparł cicho.

— „La donna e mobile...“ — zanuciła szeptem i uprowadziła go dalej.

Cmentarz w ogród się zamienił. Jesień sucha była i ciepła ,więc drzewa nie straciły liści, na mogiłach zieleniła się murawa, wieńce oplatały sztachety. Wśród mnóstwa gorejących świateł, przesuwała się ciżba różnobarwna.

Helena zagłębiała się w coraz ustronniejsze aleje.

— Szukam wrażeń... — odpowiadała ze śmiechem, gdy zmęczony wędrówką między grobami hrabia do powrotu wzywał...

Zbliżali się ku końcowi cmentarza. Światła paliły się tam rzadziej. Zamiast bogatych wieńców skromne wiązanki z borowiny, mchu i nieśmiertelników leżały na darniną pokrytych mogiłach, zaledwie gdzieniegdzie krzyżem drewnianym znaczonych.

Tu dopiero smętna, uroczysta panowała cisza; w powietrzu, zda się, drgały nieuchwytne odgłosy tłumionych jęków i łez.

„Naiwna“ zatrzymała się. Błyszczące jej oczy spoczęły na małym grobku, przytulonym do świeżą darniną pokrytej mogiły.

Ubogo odziany mężczyzna klęczał zatopiony w modlitwie, małe dziewczątko obok na mogiłce ustawiało przyniesione zabawki.

— Co robi ta dziecina? — spytała Helena i uśmiech znikł z jej twarzy.

Dziewczynka jakby w odpowiedzi zawołała:

— Niech tatuś da konika. Włożyłam go tatusiowi do kieszeni.

A gdy zamodlony mężczyzna nie odpowiadał, poskoczyła ku niemu.

— Jasiowego konika chcę tato — wołała niecierpliwie. — Jasio tak lubił bawić się nim i gniewałby się, żem go nie przyniosła.

Papierowy konik wkrótce potem znalazł się na mogiłce obok dwóch cynowych żołnierzy i porcelanowego pieska.

— Tatusiu — zawołało dziecko z żalem — dla Jasia przyniosłam zabawki, a dla mamy co? Nie mam nic dla mamusi, tatku, nic...

Rozpłakała się. Klęczący mężczyzna przygarnął ją do piersi.

— Za mamę zmówisz paciorek... — wyszeptał głosem bezmiernego bólu.

Dziecię złożyło rączki i uklękło.

— Proszę Bozi, żeby mamusi mojej było u Bozi dobrze — mówiła sierotka, zapłakane oczęta wznosząc ku niebu.

Aktorka uśmiechnęła się z przymusem.

— Zabawna jest ta mała przynosząca umarłym podarki — wyrzekła.

— Jest w tej pamięci dziecka wiele rzewnej prostoty — wtrącił hrabia.

Poszli dalej.

— Patrz hrabio, tuż pole — odezwała się stłumionym głosem Helena.

— Ani krzyżów, ani pamiątek żadnych nie widać.

Hrabia spojrzał i dreszcz nim wstrząsnął.

— To mogiły samobójców, piękna pani. Ręka Heleny, oparta na ramieniu hrabiego, drgnęła nagle.

— Samobójców? — powtórzyła. — Więc to jest cmentarz samobójców?

— Nie inaczej. Zapomniano o nich. Pusto, głucho. Spoczywa tu oczywiście cały zastęp niedołęgów, którzy rozczarowania swoje lufą pistoletu przecięli.

— Filozofów, sceptyków... — wtrąciła aktorka.

— Zdradzonych kochanków... — dorzucił znacząco hrabia.

Wzrok Heleny zatonął w tych pagórkach piaszczystych, nagich, samotnych. Jakiż smutek ponury wiał od grobów opuszczonych, ile one w głębi swej ukryły cichych dramatów, walk, zdruzgotanych idei, zdradzonych uczuć, rozszalałych umysłów!...

W pobliżu ozwał się jęk, zamigotało blade światełko i cień jakiś pochylił się ku jednej z mogił.

— Odejdźmy! — szepnął hrabia, ujmując rękę aktorki.

Odtrąciła go niecierpliwie. Nieprzeparta siła pociągała ją ku starej, klęczącej na grobie kobiecie.

Wicher przeleciał po mogiłach, chmara wron i kawek z przeraźliwym wrzaskiem podniosła się w obłoki, światło lampki zamigotało żywiej.

Z piersi aktorki wydarł się okrzyk zgrozy.

— Boże! — jęknęła. — Czy ja śnię?

Przeczytała napis na blasze wyryty i naraz powieki zaciężyły jej jak kulki ołowiu. Przymknęła oczy... nie widzi nic i nikogo. W uszach jej dźwięczy srebrny śpiew skowronka, szumią łagodnie sosnowe bory obejmujące wokoło cichą wioskę rodzinną, wchłania w siebie zapach kwitnących zbóż, macierzanki i rozmarynu, krzewiącego się bujnie w ogródku Halki Zagrodzianki. Jak to już dawno, dawno!... A ta Halka Zagrodzianka... Cha, cha, cha!

Pierwsza „naiwna,“ wybucha nagle gamą śmiechu, który wśród ciszy grobów porusza smętne echa, zlewając się w dziwny akord z rozpacznem łkaniem staruszki.

Od grobu, pospołu z wiatrem płynie ku Halce szept namiętny: „Nie wydzieraj mi duszy, ukochana.“ Ten szept... Halka Zagrodzianka słyszała go już niegdyś... Ale to było dawno, dawno!... Jak on ją kochał! Przyjechał na odpoczynek do rodziców, wybladły od pracy i nocy bezsennych. Spotkali się pod gruszą, która pola ich rodziców przegradzała.

Potem wieczór był tak samo jak dziś jesienny, wicher szalał po rozłogach, w zmroku paliły się jak pochodnie oczy młodzieńca.

I ona powiedziała mu wreszcie, że kocha...

Słodka twarz Bogarodzicy wśród liści gruszy starej ukryta, słyszała przysięgę dziewczyny.

Halka Zagrodzianka!

Cha, cha, cha! Jak ona to pamięta.

Brakowało mu tylko dwóch lat do skończenia uniwersytetu i przyrzekła czekać na niego. Czekać?

Cha, cha, cha! Czekać...

I owa przysięga pod gruszą... Dzieciństwo... Zabawka!

Skromne dziecię wioski pochwycił w objęcia świat rozkoszy, blasków zwodniczych, tanich pochlebstw, oklasków tłumu.

On odszedł zapomniany, wzgardzony! Cha, cha, cha!

Śmiech Heleny milkł zwolna, rozpływał się w ciszy wieczornej i łzach.

Kolana zgięły się jej bezwiednie i wargi drżące, zbladłe wyszeptały:

— Jak ja się dawno nie modliłam!..

Wanda Grot-Bęczkowska...



Cmentarz.



Step... Cisza, pustka, letnim skwarem [wypełniona,
Nad nią morze błękitów, a pod nią [traw morze,
Tylko las smutnych krzyżów cmentarnych — [ramiona
Nagie wyciąga w słońcem złocone przestworze.

Rzadko tu kto zagląda... Raz człowiek samotny
Zawiśnie i nad krzyże drżącą piosnkę nuci,
Lub z wiatrem rój motyli przelatuje psotny,
Lub na grobie swej matki sierota się smuci.

Czasem obłok srebrzysty, zdaleka przybyły,
Zaduma nad cmentarzem; na ciche mogiły
Gwiazdy blade z uśmiechem spoglądają rojnie;

Czasem rosa zapłacze; zielony bluszcz smętny
Jakiś grub zapomniany wziął w uścisk namiętny
Może tu spać jest smutno, — głucho... lecz [spokojnie.

Anna Kłopotowska.





Z tajemnic świata zagrobowego.

VII.



W Choczu, w klasztorze tamtejszym, mieszkał ks. kanonik Lipski, stary sparaliżowany weteran w służbie Bożej i ogólnie zażywającczci i szacunku. Prałat ów miał bratankę, pannę Cezarynę Lipską, piękną i ealną istotę, wówczas w Reichenhallu ogorywającą na suchoty. — Było to dzień św. Augustyna, patrona ks. kanonika, 28 sierpnia. Matka tamtejszego . wikarego, który był przysłany do mocy ks. kanonikowi, idąc do kościona mszę św. jak zwykle, rano o gonie szóstej, zobaczyła w kurytarzu asztornym, pannę w białej sukni, któręce obwieszone były różańcami; oba owa na zakręcie kurytarza zniła. Pani ta, tak była tem widzeniem zestraszoną, że zaniechała pójścia do ścioła i opowiadała o tem kilku osom, między innemi panu D., z którego opowiadanie to słyszałam.

Upłynęło od czasu tego parę miesię— państwo D. byli w Choczu w od dzinach u ks. kanonika Lipskiego, a tamże również matka panny Cezay. Rozmawiano ogólnie i z żalem o nie Cezarynie, która jak gwiazda isła w Reichenhallu, na nieubłaganą orobę piersiową. Pani Lipska opowiadała jej ostatnie chwile: panna Ce a kilka minut przed zgonem odeła się do matki: „Mamo, wszakże dzisiaj św. Augustyna — imieniny yja w Choczu, jakże mi żal, że nie gę mu powinszować, ale ja tam bę. Dotrzymała słowa.

Nadmieniam, że w Reichenhalu jest yczaj, że osoby odwiedzające umarh, składają na rękach zmarłego obra, lub zawieszają różaniec.

* *

Inny szczególny wypadek słyszałam st pani W. osoby poważnej i wiaro lnej.

Pani Wil. zastępowała miejsce matkinie Stanisławie B., która wyszła późnej mąż za hr. Sz. i zamieszkała w dobrach ża w P. Młoda pani hrabina, tak się przywiązała do swej opiekunki, że nie chciała się z nią rozłączyć — i pani W. nadal przy niej pozostała. Było to pewnego pięknego dnia w jesieni, na kilka tygodni przed urodzeniem ostatniej córeczki hrabiostwa. Państwo Sz. wyjechali na przechadzkę — pani W. udała się do jednego z pokoi, tak zwanego czerwonego salonu, gdzie zajęła się poszukiwaniem pewnej książki. W rogu tego pokoju stał zegar staroświecki, zdobyty na Turkach pod Wiedniem przez jednego z przodków hrabiego, zegar ten był popsuty, nie chodził wcale i nigdy nie był nakręcany. Nagle zegar ów zaczął bić głośno przez kilka minut, poczem znowu ucichł.

Pani W. zdumiona tem niezwykłem zdarzeniem, opowiadała o tem za powrotem państwu Sz. Hrabina zbladła, ale odrzekła spokojnie: „ach ten zegar antyk, z czerwonego salonu, zdobyty na Turkach — bił — wie Pani co to znaczy, on zawsze naprzód oznajmia w ten sposób, śmierć jednego z członków rodziny mego męża hrabiów Sz. a tym razem mnie woła, i ja umrę.“ W trzy tygodnie później hrabina Sz. młoda, silna, piękna kobieta, która poprzednio nie chorowała nigdy — umarła.

B. Maciejewska.



W otchłań....

(Epizod z wojny niemiecko-francuskiej.)

(Dokończenie.)

Przez chwilę nadstawił ucha. Zdawało mu się, że słyszy głuchy jakiś odgłos, jakby dalekiej kanonady. Nie, to był tylko szum w uszach. Krew pulsowała mu boleśnie w arteryach i skroni; chłód wielkich wysokości zapierał mu oddech w piersi; czuł jakiś lęk próżni; ale żadnego żywego odglosu. Dokoła tylko morze milczenia.

I w tej czarnej pustyni chłodu, ciszy i mroków leżała martwa Francya. Ach! żeby się raz skończyła ta noc piekielna!... żeby zaświtał dzień na niebie!... We dnie przynajmniej mógłby się jakoś zoryentować dokoła siebie.

Czy podobna, aby nigdzie już nie było ludzi, wojska, serc tętniących życiem? Gdzie on leciał? Gdzie się znajdywał? Czy ten wicher niesie go choć ponad ojczystemi łanami? I cała boleść jego odezwała się znowu w pokornym i namiętnym porywie miłości ku tej ziemi rodzinnej. Jakże gorąco pragnął ujrzeć łagodny spadek jej wzgórz, krętą wstęgę srebrzystych rzek, czarne pola, zieleniejące bory, strzechę ubogich chat i sine wieńce dymów ulatujące z komina — widzieć istoty ludzkie, ziemię, życie... i spuścić się z tych zawrotnych wyżyn!

Ale te mroki... te straszne, nieprzebite mroki! Jakże tu przybić do ziemi? Nie może przecie spaść z nienacka, nie wiedząc, gdzie może w sam środek nieprzyjacielskiego obozu. Jakże długo do tego świtania, Boże!... Boże!... Godziny płyną z zabijającą powolnością, a on jeden czuwa wśród tego milczącego, zamarłego państwa mroków. Już oddawna wygasły ostatnie dwa czuwające światełka w Wersalu: Bismark i Moltke śpią. Uśpiona też stroskana czujność Chanzy'ego i Faidherba. Śpią wszyscy w Laval i Bordeaux w salach Prefektury, gdzie Gambetta rezyduje w cesarskich apartamentach. Śpi Paryż snem gorączkowym przerywanym co chwila. To pora, w której najwytrwalsza bezsenność ulega ołowianemu odrętwieniu ostatnich godzin nocy.

Nareszcie, szczękając zębami z zimna, przesiąknięty wilgocią, zesztywniały w ubraniu, na którem zaskrzepł szron, z oczami napuchłemi, z posiniałemi rękoma, Iwon odwróciwszy się spostrzegł bledniejące na niebie ciemności. Niewyraźna zorza zaczynała świtać na dalekim widnokręgu.

Powitał ją niewysłowioną ulgą i błagalnem wezwaniem całej swojej istoty. Dzień!... dzień nareszcie!..

Na wschodzie, nieznaczna zrazu szara plama, rozlewała się chorobliwą bladością na niebie, a jemu dusza śmiała się i porywała do tej szarej, smętnej siności, jakby już widział po za nią błogosławioną światłość Bożego słońca!

* *

Ziemia!... zrazu ukazała mu się mglisto i niewyraźnie wśród szmat podartych, kłębiących się chmur, wśród czerni, roztapiających pomiędzy blademi widnokręgami przestrzeni. Gościńce białem przędziwem przecinały olbrzymie płaszczyzny, zamiatane mgłą oparów. Pierwszy krzyk, który go doleciał, był pianiem koguta. Dziwnem się wydało Iwonowi, że nie widział zagłębienia dolin i wzniesienia gór; wszystko przedstawiało mu

się płasko. Lasy wydawały mu się maleńkie jak kępy trawy, domy jak ziarnka fasoli, stawy jak świetlane punkciki. Potem całe miasto wyłoniło się z mgły. Iwon schwycił lunetę i jął się chciwie, długo wpatrywać w nieznaną miejscowość. Serce uderzyło mu jak młotem na widok trójkolorowej flagi powiewającej nad jednym z gmachów. Dziękczynna modlitwa podniosła się z jego piersi. Wyciągnął ramiona do ziemi.

Spuścić się, ach spuścić jak najprędzej! Uwiesił się u sznura klapy bezpieczeństwa; ujrzał ziemię podnoszącą się nieznacznie ku niemu; potem wszystko znikło. Zanurzył się w puszystej bieli gęstej, nie przebitej mgły. Nie widział nic; nawet balonu. Zaniepokoił się. A jeżeli balon rozbije się o jaki komin lub dzwonnicę?... Wyrzucił część balastu i wzniósł się trochę w górę. Mgła robiła się coraz gęstszą, ścieląc się u dołu grubym podkładem podobnym do śnieżnego tumanu, przez który wzrok jego nie mógł się przebić.

Co za nieszczęście! Ziemia była tak blizko, ziemia wolna od najezdzców!... Być tuż przy porcie i nie wylądować! A gdyby tak zaryzykował spuścić się przebijając tę przeklętą mgłę! Ogarnęła go niepohamowana chęć dotknięcia stopą ziemi, zobaczenia ludzkich twarzy, spełnienia raz swojej misyi... Naraz podniósł głowę i zaczął węszyć powietrze. Znał ten słony podmuch morskiego wiatru. To było wybrzeże... a tam, niedaleko ocean.

Nie wiedząc o tem Iwon pozostawił Rennes na lewo a Chateaudun na prawo. Wyląduje w Bretanii, na brzegu Guildalo, niedaleko Hani. Ale musi się spieszyć. Dlaczego klapa bezpieczeństwa nie funkcyonuje? Daremnie Iwon wiesza się u sznura i ciągnie z całych sił. Z dołu dolatuje go straszny huk jakby niewidzialnych piorunów... jakby łoskot rozpędzonych setek parowozów... To głuchy szum fali rozbijających się o nadbrzeżne skały: Prędko!... prędko!... Klapa ulega naporowi; balon opada, ale wicher go porywa i niesie z błyskawiczną szybkością ponad skałami zbryzganemi raptownym nadpływem kłębiących się, groźnych bałwanów. Już jest daleko; mgła rozdziera się nagle i o jakie trzydzieści metrów poniżej Iwon spostrzega zieloną otchłań morską, wzburzoną i szalejącą pod pienistą zawieją srebrnej piany.

To śmierć!

Machinalnie wyrzuca jeden balast po drugim. Balon podnosi się, a Iwon rzuca zrozpaczony wzrok ku ziemi, która znika mu z oczu, i ku bezmiernym obszarom oceanu, ku któremu pcha go rozwścieczony wicher!

A śmierć, widziana przez błyskawiczną chwilę, śmierć przed którą cofał się instynktownie staje teraz przed nim w całej grozie swojej i nieuniknionej konieczności, i zwolna przenika błędnie rozszerzone źrenice jego, i jak wąż wślizguje się w duszę. Śmierć... bez możliwego ratunku zimna, straszna, nieubłagana... Dokoła, jak oko zasięgnie, żadnej łodzi ani masztu. Pod nim wątłe, trzcinowe czółno i morze pieniące się pod chłostą wichrów. Całe życie przesunęło mu się przed oczami, postacie dawno zapomniane, krajobrazy uwidziane kiedyś zaledwie w przelocie. Dalekie wyprawy morskie, aromaty dzikich krajów, słońca podzwrotnikowe... wszystko przeżył napowrót w jednej chwili. A z tej chaotycznej przeszłości zmartwychwstałej nagle jaskrawemi obrazami, jedno wspomnienie prześladuje go teraz nieopisaną grozą: twarz tonącego człowieka. Iwon poznawał go doskonale, był to stary majtek, bardzo cichy i potulny...

Burza szaleje tak jak dzisiaj; niepodobna było pchnąć ratunkowej łodzi... Cała załoga z kapitanem na czele stała na pokładzie z odkrytemi głowami. Ksiądz błogosławiącym ruchem kreślił krzyż w powietrzu nad biedakiem... i długo, długo ta nieszczęsna głowa z szklistemi, rozwartemi przerażeniem oczyma, zamiatana przez wściekle fale, wypływała na wierzch, aż w końcu zanurzyła się ostatecznie.

Ale Iwon odepchnął tę zmorę. Zahartował był swoją odwagę w Montrouge, pod kartaczami; otrząsnął się więc z trwogi i wezwawszy pomocy Najświętszej Panny Nieustającego ratunku i świętych patronów, postanowił się bronić do upadłego.

Balon opuszczał się znowu. Iwon wyrzucił resztę balastu.. Wydało mu się, że morze zaczyna się oddalać. „Jeden podmuch przeciwnego wiatru, a zwróciłby mnie ku lądowi!“ rozmyślał w duchu.

Ale próżne złudzenie. Ocean zbliżał się ciągle z straszliwą powolnością. Widnokrąg zasłaniał się cały ryczącemi bałwanami, piętrzącemi się jedne na drugich szmaragdowem wklęśnięciem pod grzywą śnieżnej piany. Głuchy, stłumiony łoskot podnosił się z tego płynnego piekła, napełniając powietrze nieznaną, dziką grozą.

Iwon mógł już policzyć minuty dzielące go od otchłani. Zimna krew i cała przytomność umysłu wróciły mu w tej stanowczej chwili. Wyrzucał wszystko co miał pod ręką: resztki chleba, manierkę, szablę swoją i siekierę. Zostały już tylko gołębie i worek z depeszami.

Gołębie woda zadusi prędko w koszyku, ale jak mają ginąć to niechaj giną wolne. I gorączkową ręką Iwon podniósł wieko, schwycił jednego ptaka po drugim i rzucił je na wiatr. Pierwszy wpadł prosto jak kamień w wodę; drugi odbił się od fali i oszalały trwogą, krążąc w powietrzu wrócił przyczepić się do brzegu łódki. Dwa ostatnie bijąc skrzydłami przestrzeń i porząc wicher, frunęły ku ziemi. Pozostały już tylko ciężkie worki depesz, których wyrzucenie ulżyłoby balonowi i przedłużyło szanse ocalenia albo chwile konania Iwona.

Krótko trwała chwila stoickiego namysłu, w której cała wrodzona szlachetność Iwona Le Glecha, cała odwaga jego, honor, religijne uczucia, przykłady prostacze przodków, pokorna, naiwna wiara w świętość obowiązku, wypłynęły z najgłębszych tajników jego istoty i zwyciężyły przywiązanie do życia i lęk śmierci.

Nie!... nie wyrzuci depesz. Niechaj raczej utoną z nim razem skoro takie przeznaczenie.

A głos tajemny męzkim tonem komendanta Bonarda, szeptał mu:

— Próbuj niemożliwości. Puść balon na wiatr, na niepewne losy. Poleć go Opatrzności... a może... stanie się cud... kto wie!? Ryzykuj wszystko. Poświęć życie. Kto wie czy zbawczy prąd wiatru nie zwróci balonu ku Francyi z depeszami i czy misya twoja nie będzie spełnioną bez ciebie, ale przez ciebie jednakże!...

Ślina morska zbryzgała mu twarz bladą bardzo. Olbrzymie fale podnosiły się aż ku niemu, aby pochłonąć swoją ofiarę. I znowu dni słoneczne młodości, widziadła wyśnionego szczęścia, Hania, towarzysze Montrouge, komendant Bonard, przemknęli mu przed oczyma, jak dalekie jakieś, senne wspomnienia minionego życia. Z prostotą i spokojem wielkim Iwon Le Glech przeżegnał się i skoczył w otchłań.

Wypchnięty na wierzch fali, wypluwając słoną wodę, aby opóźnić choć o parę sekund chwilę już tak blizką... tak blizką, w której sił mu zbraknie i zanurzy się ostatecznie.

Iwon rozpromieniony ujrzał — ostatniem spojrzeniem, rzuconem, na świat, maleńki, zaledwie dostrzeżony punkcik w ogromnej przestrzeni nieba: balon mknący w ślad za niewidzialnemi gołębiami ku Bretanii... ku ukochanej, rodzinnej ziemi!...

Paweł M.



MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

31) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

— —

(Ciąg dalszy.)

— Dziękuję pani! A teraz pozwól, że cię wyprowadzę z tego domu. Drzwi i okna są zamknięte, musimy więc wyjść dachem — jest to droga, którą ja przyszedłem!

Wyjście na dach nie było zbyt trudne, krzesło postawione na stole wystarczało, aby sięgnąć otworu, wyrąbanego przez Maksymiliana. Wkrótce stanęli koło żerdzi, i teraz Felicya miała się spuścić po nich na ziemię.

— Nie bój się pani, — mówił Maksymilian, — trzymaj tylko mocno drzewa i posuwaj się wolno na dół. To wcale nie jest niebezpieczne.

— Ja się przy panu niczego nie boję, — szepnęła Felicya z uczuciem, i po chwili stanęli szczęśliwie na ziemi.

Maksymilian zamierzał właśnie uczynić to samo, gdy nagle rozległ się przeraźliwy krzyk tuż koło niego:

— Na pomoc! Na pomoc! Panie hrabio! Porywają panią hrabinę, na pomoc!

Mała jakaś postać, w koszuli, czepiała się teraz nóg Maksymiliana, i trzymała go silnie, przeszkadzając w spuszczeniu się po żerdziach.

— To Luigi, — zawołała Felicya z dołu, — na miłość Boską, on wszystko zdradzi!

Maksymilian schwycił chłopca, broniącego się wściekle, zawiązał mu usta chustką, ręce i nogi kawałem sznura, wiszącym u tyczki, i rzucił go jak piłkę przez otwór w dachu na kanapę, poczem zesunął się na dół i podał rękę Felicyi.

— Żegnam panią, — rzekł uroczyście. — Idź i obudź Stanisława — powiedz mu, aby kazał trąbić natychmiast na alarm, — ja zaś muszę jeszcze wypełnić inny obowiązek! Albo zobaczymy się, jako zwycięzcy, albo wcale nie!

Felicya z płaczem rzuciła mu się w objęcia.

Raz tylko — raz jeden tylko pozwól mi powiedzieć, szepnęła, — że cię kochałam i kocham nad wszystko w świecie! Raz tylko chciałam być szczęśliwą — a teraz — żegnam cię!

W następnej chwili już jej nie było. Maksymilian słyszał tylko ciche skrzypnięcie drzwi — widocznie weszła już do domu sołtysa.

Potem wyjął rewolwer i poszedł ku stodole, stojącej jak czarne widmo za ogrodem.

— Rozmówimy się teraz, Mikołaju Vrana, szepnął, — i zobaczymy, kto zwycięży!

ROZDZIAŁ XLVII.

Naomi.

Stanisław spał snem prawdziwie kamiennym, papieros działał bardzo skutecznie. W pokoju ciemno było zupełnie, nagle jednak zabłysło światło: przez drzwi ukryte w murze, których ani Stanisław ani Maksymilian nie widzieli, weszła Naomi do pokoju.

Młoda dziewczyna zbliżyła się szybko do śpiącego i spojrzała z słodkim uśmiechem na piękną twarz młodzieńca.

— Nie, — rzekła cicho, — on umrzeć nie powinien, i to jeszcze z ręki mego ojca! Wieczna klątwa ciężyłaby na naszym domu! Ja go ocalę, chociażby kosztem mego życia! Ach, zdaje mi się, że ja kocham tego pięknego chrześcijanina. Może i on mnie kocha? Czyżby to było coś nadzwyczajnego?

— Nelly! Nelly! — szepnął w tejże chwili Stanisław we śnie.

Naomi zadrżała.

— Ach! — pomyślała, — on kocha już inną, jakąś Nelly! Pewnie to chrześcijanka i Austryaczka. — Ale ja go pomimo to uratuję od śmierci!

Postawiła lampę teraz tak, że światło jej padało wprost na twarz śpiącego.

— Panie hrabio, — zawołała Naomi, chwytając jego rękę, — obudź się pan!

Stanisław otworzył oczy, ale zamknął je zaraz — nie mógł wcale oprzytomnieć i nie wiedział, co się z nim dzieje.

— Chodzi tu o życie pana, — wołała Naomi, — słyszysz? Obudź się!

— Czy to Dorn? — rzekł teraz Stanisław, przecierając oczy. — Kto mnie woła? Dorn — ah — cóż to, kobieta? Wszakże to Naomi, córka naszego gospodarza! Co to znaczy?

— Tak, to ja! Spiesz się pan, wstawaj, wielkie niebezpieczeństwo grozi ci......

— Mnie? Mów jaśniej, ja nic nie rozumiem o co chodzi!

— W nocy mają nasi wieśniacy wymordować żołnierzy austryackich — pan także ma paść ofiarą, ale ja cię ocalę!! Ukryję cię tak, że nikt cię nie znajdzie!

Mówiąc to wyszła tajnemi drzwiami. Stanisław wy-



Młoda dziewczyna zbliżyła się szybko do śpiącego i spojrzała z słodkim uśmiechem na piękną twarz młodzieńca.

skoczył z łóżka — głowa ciężyła mu okropnie, włożył ją więc w miednicę, pełną zimnej wody i zaraz uczuł znaczne polepszenie, a chwilę później był już ubrany i trzymał pałasz w ręku.

Teraz też przypomniało mu się, że Dorn śpi w przyległym pokoju, i że go także obudzić należy. Pobiegł więc czemprędzej do drzwi, otworzył je i — ujrzał łóżko puste.

Rzecz ta nie zdziwiła go zbytecznie — domyślił się, że Dorn usłyszał jakiś podejrzany szelest w domu i poszedł, aby się przekonać, co się dzieje!

— Teraz wróciła znowu Naomi.

— Powiedz mi, — rzekł Stanisław, — dokąd mnie chcesz zaprowadzić?

— Wyprowadzę pana na pole. Uciekaj potem w góry, bo tu we wsi zamordowaliby cię bez miłosierdzia.

— A nuż żołnierze? Mam siebie ratować, a ich zostawić na pastwę rozbestwionych nieprzyjaciół? Nie, Naomi, ja sam nie pójdę! Albo wszyscy razem, albo żaden!

— Jakto, nie chcesz się pan ratować? — krzyknęła Naomi przerażona.

— Sam — nie!

Naomi zamyśliła się na chwilę.

— Słuchaj pan! — rzekła, — może czynię źle, zdradzając moich współwyznawców, ale jest jeden sposób ocalenia nas wszystkich. Przed szkołą, tuż obok naszego domu, jest dzwonek, zwołujący dzieci do nauki. Dzwonka tego używał zawsze mój ojciec, gdy się miała odbyć jakaś ważna narada...... Idź pan i dzwoń mocno — wieśniacy będą myśleć, że ojciec ich wzywa i przyjdą tu wszyscy. Tymczasem możesz pan kazać zatrąbić na alarm, żołnierze obudzą się, i wszyscy będziecie ocaleni!

— Jest to wyborna myśl! Prowadź mnie do dzwonka!

Naomi ujęła rękę Stanisława i przeprowadziła go najpierw przez ciemny dom, a potem przez obszerne podwórze, na dziedziniec szkólny. Na wysokim słupie był tu przymocowany duży dzwon, sznur jego zwieszał się ku ziemi.

Stanisław już wyciągał rękę, aby pochwycić sznur, gdy nagle krzyknął przestraszony. Uczuł on w tej chwili, że nie ma przy sobie pugilaresu, w którym leżała zasuszona róża, dar ukochanej Nelly.

— Dopóki masz tę różę, — mówiła Nelly, dając mu kwiat na pożegnanie, — dopóty szczęście będzie nam sprzyjać, ale jeżeli ją zgubisz — będzie to zły znak dla naszej miłości.

Może pokazując kwiat Maksymilianowi, zostawił pugilares na stole, może pugilares wypadł mu z kieszeni — w każdym razie być musiał w jego pokoju, to nie ulegało żadnej wątpliwości!

Ale to wiedział także, że skoro raz tylko pociągnie sznur dzwonka, to nigdy już nie będzie mógł wrócić do tego domu i szukać swego skarbu. Wtenczas będzie miał tyle tylko czasu, aby iść do wsi i krzyczeć na żołnierzy.

Nie, zanim dotknie dzwonka, musi mieć różę swej Nelly ukochanej!

— Na co pan czeka? — zawołała w tejże chwili Naomi. — Dzwoń pan — mocno, czy myślisz, że ja cię zdradzam? Ach, dzwoń pan, prędko, to jedyny nasz ratunek!

— Nie, nie, ja ci wierzę, ale zanim zacznę dzwonić, muszę raz jeszcze wrócić do mego pokoju — zostawiłem tam bowiem coś droższego mi, niż życie! Zostań tu Naomi, czekaj na mnie, ja wrócę za kilka minut!

I już chciał się oddalić, gdy Naomi chwyciła jego rękę.

— Szalony! — krzyknęła, — czy chcesz iść po twoją zgubę? Jeżeli wrócisz raz jeszcze do domu mego ojca, to umrzesz tam, śmierć czyha na ciebie! Raz cię uratowałam, drugi raz pomódz nie mogę!

— Nie zatrzymuj mnie, ja iść muszę! To, co zgubilem, jest szczęście mego życia, ja iść muszę!

— Ah, rozumiem, to pewnie talizman! Dała ci go ta, którą kochasz, nieprawdaż?

— Tak, zgadłaś! I powiedz sama, jakie wyobrażenie miałabyś o tym, który by kwiat, otrzymany od ciebie na pamiątkę, a mający go strzedz w niebezpieczeństwach, zgubił, i nie miał dosyć odwagi na szukanie go?

Naomi spuściła głowę i milczała przez chwilę.

— Masz słuszność, — rzekła smutnie, — idź i szukaj twego talizmanu. Niech cię twój Bóg prowadzi!

Stanisław ujął jej rękę i przycisnął do ust — kilka zaś sekund później znikł w domu sołtysa.

W prędkości zapomniał drzwi zamknąć — wiatr szarpnął niemi i zatrzasnął z taką siłą, że klucz wypadł na ziemię z głośnym brzękiem.

Ale Stanisław nie zważał na to. On jedno tylko miał w tej chwili na myśli — odszukanie róży swej ubóstwianej Nelly, bez tego talizmanu nie wyjdzie z tego domu!

W pokoju było ciemno, ale na stole stały dwie świece. Stanisław zapalił obie i krzyknął z radości! Na krześle, przy łóżku leżał pugilares, a w nim zasuszona biała róża ukochanej!

— Teraz czemprędzej do dzwonka, — pomyślał, i rzucił się ku drzwiom.

I już kładł rękę na klamkę, gdy ktoś z drugiej strony popchnął drzwi — Stanisław cofnął się — i w tejże chwili uczuł na swem czole zimno stali.

— Cicho, — szepnął, stojący przed nim, wysoki mężczyzna, — inaczej roztrzaskam ci głowę na miejscu.

Stanisław czuł się zgubionym.

* * *

Mikołaj Vrana ułożył cały plan wymordowania Austryaków i siedział teraz z Ramirem przy butelce wina w swoim pokoju. Jako Mahometanin nie powinien był właściwie pić gorących trunków, ale tego wykroczenia przeciwko przepisom religijnym nie uważał sobie za grzech, i przy każdej sposobności, naturalnie potajemnie, pił, ile tylko mógł.

— Bośnia musi być wolna, — mówił z zapałem, otwierając trzecią butelkę, — Austryacy muszą się ztąd wynosić. Będziemy walczyć do upadłego — otwarcie i podstępem, ale oswobodzimy ojczyznę z pod tego jarzma!

— Doskonałe wino, — odezwał się Barin — a czerwone, jak krew, która dziś popłynie!

— O tak! Chciałbym, aby tyle krwi popłynęło, ile wina w naszym kraju! Ale późno już — za dziesięć minut północ, czas nam zabrać się do roboty. Więc Kosiński i Dorn są pana własnością — załatwij się prędko z nimi — ale o ile możności bez hałasu, w komorze śpi jeszcze trzech żołnierzy, do tych poślę moich parobków, trzeba mi tylko najpierw obudzić!

— A wy tymczasem podpalicie stodołę?

— Tak! Za kilka minut wzbiją się płomienie ku niebu i zwiastować będą wolność i niepodległość naszą! Byłeś nam hrabio wiernym sprzymierzeńcem, to też możesz zawsze i wszędzie liczyć na naszą wdzięczność! W Treskawicy jesteście bezpieczni, tu was żaden szpieg nie wyśledzi!

Barin uścisnął mu rękę i obydwaj złoczyńcy rozeszli się.

Vrana poszedł do stodoły, Barin — na górę.

Tym razem nie ujdzie mu Maksymilian, śpi on tam spokojnie, i nie wie, że śmiertelny wróg zbliża się do niego!

— Raz już pozbędę się tego nieszczęścia mego życia, — myślał z rozkoszą, — a krwawe ciało jego pokażę Felicyi, aby się sama przekonała, że Maksymilian Kronau nie żyje! Wtedy przestanie go kochać! I ja posiądę jej serce, bo ona nigdy się nie dowie, że ja go zabiłem! Mógł go przecież zabić pierwszy lepszy Bośniak!

Ale nagle cofnął się przerażony. Tuż przed drzwiami pokoju oficera stanęła w tejże chwili jakaś biała postać kobieca — Felicya!

— Felicyo! — szepnął Ramiro, drżącym z wzruszenia głosem, — zkąd ty przychodzisz tu — o tej godzinie? Myślałem, że jesteś w domu — ach, fałszywa żmijo — wiedziałaś, że on tu jest? Widziałaś go?

I przy tych słowach porwał jej rękę i ścisnął tak mocno, jak gdyby ją zgnieść chciał.

— Nie wiem, o kim mówisz, — odrzekła Felicya spokojnie, uważając za stósowniejsze nieprzyznawanie się do swej rozmowy z Maksymilianem, — ale jeżeli jedno z nas ma prawo pytania się, to pewnie ja! Powiedz mi czemu zamknąłeś mnie na klucz? Czemu chodzisz po nocy w tym domu, jak złodziej, i co znaczy rewolwer w twych rękach?

— Co znaczy? — syknął Ramiro. — To, że przeczuwam tu bliskość nieprzyjaciela — o, ja mam pod tym względem wiele talentu odgadywania, i wiem, że gdy otworzę te drzwi, ujrzę tego, dla którego nie ma miejsca na świecie, dopóki ja żyję! Albo ja, albo on!

— Nie pozwolę ci zamordować bezbronnego......

— Ah, więc stajesz otwarcie po jego stronie? Więc kochasz go zawsze jeszcze? Nie, raz już musi to się skończyć!

Ale Felicya rzuciła mu się teraz na szyję i przycisnęła czule swoją jasną główkę do jego piersi.

— Ramiro, — szepnęła, — czy nie wiesz, dlaczego ja tu przyszłam, ledwie przytomna z strachu? Otóż chcę cię powstrzymać od popełnienia tej zbrodni! Ach, nie myśl, że chodzi mi o tego, którym niegdyś byłam trochę zajętą — uczucie to dawno już znikło z mego serca! Teraz dopiero, żyjąc z tobą, poznałam prawdziwą miłość — o ciebie drżę, Ramiro, i umieram z przerażenia na myśl, że mogliby cię jako mordercę Maksymiliana uwięzić! Zostałabym na świecie sama, bez opieki! Wróć ze mną do naszego cichego domku, błagam cię wypełnij moją prośbę! Nie opuszczaj mnie!

Felicya, posłuszna rozkazom Maksymiljana, odegrała znakomicie komedyą czułości, i pewna teraz zwycięstwa, ujęła rękę męża, prowadząc go napowrót ku schodom.

Ramiro, rozbrojony słowami Felicyi, szedł za nią, oszołomiony szczęściem.

Po raz pierwszy powiedziała mu Felicya, że kocha go!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Żywcem pogrzebany.

Powieść z włoskiego.

9) **Tłomaczyła P. Otrys.**

(Ciąg dalszy).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Nazajutrz otrzymałem list od markiza d'Avencourt, wraz z paczką innych jeszcze listów.

Donosił mi, że zwłoki Gwidona zostały pochowane w bliskości grobowca Romanich i, że pogrzeb odbył się cicho, ale z całą uroczystością kościelną.

— O ile wiadomem było, — pisał markiz dalej, — życzył on sobie spoczywać blizko Romanich, że był najszczerszym przyjacielem hrabiego Fabia, przeto uważaliśmy to za zupełnie słuszne. Załączone listy znaleźliśmy w kieszeni jego surduta, i gdy, chcąc się dowiedzieć ostatnich jego życzeń, otworzyliśmy pierwszy z nich, doszliśmy do przekonania, że pan, jako przyszły mąż hrabiny Romani, masz prawo przeczytania ich. Jest to koniecznie potrzebnem, tak ze względu na pana, jak na zmarłego. Gwidon miał wszelki powód uważania się za pokrzywdzonego.

Pan sam ocenisz to, radzę ci tylko szczerze, namyśl się dobrze, zanim nie połączysz się nieprzerwalnym węzłem z hrabiną Romani. Nie dobrze jest, chodzić nad przepaścią z zawiązanemi oczami. Kapitan Ciabatti mówił mi też, że Gwidon zostawił testament, na mocy którego zapisał cały majątek hrabinie. Daje to dużo do myślenia! Tutaj zresztą nikt o pojedynku nie mówi, i moższ pan śmiało wrócić do Neapolu! Czekamy z upragnieniem twego przybycia!

Szczery przyjaciel *Filip d' Avencourt.*

Schowałem ten list i wziąłem teraz listy Niny, pisane do Gwidona. Jeden nawet miał datę naszych zaręczyn! Brzmiał on jak następuje:

— Dlaczego piszesz mi ciągle o naszym ślubie, mój Gwidonie? Obawiam się, że urok naszej miłości zniknie, gdy świat się o niej dowie! Chciałabym, abyś na zawsze pozostał moim kochankiem — jak wówczas, gdy żył Fabio — w małżeństwie ustaje miłość wszelka!

Rozumiałem doskonale! Nina chciała zostać moją żoną i zatrzymać Gwidona, jako kochanka!

Wincenty tymczasem starał się wszelkiemi siłami o pozyskanie serca Lilli.

— Powiedz mi, — rzekłem do niego, chcąc po przeczytaniu listów Niny, na inne przyjść myśli, — życzyłbyś sobie mieszkać na wsi albo w małem miasteczku?

— O tak, bylebym nie musiał opuszczać służby u pana hrabiego!

— A jeżeli ożenisz się z Lillą?

— To nie podobno! Ona jest dzieckiem jeszcze!

— Tak źle nie jest, ale macie w istocie dużo jeszcze czasu. Ładna to dziewczyna, a co ważniejsze, dobra i niewinna.

— Czy ty wiesz, jaki to skarb? Czuwaj pilnie nad nim, i szanuj zawsze Lillę!

— Wolałbym się zabić, niż ją zmartwić, — zawołał chłopak z błyszczącemi oczami.

Przez wzgląd na Wincentego zostałem dłużej w Avellinie, niż początkowo zamierzałem. Poczciwy ten chłopiec służył mi wiernie, dlatego postanowiłem go uszczęśliwić i wierność jego nagrodzić. Obserwowałem bacznie Lillę i poznałem wkrótce, że Wincenty posiada jej serce.

Wypadało mi teraz pomówić otwarcie z jej matką.

— Myśleliście już kiedy o tem, — rzekłem, gdy spotkałem ją raz w ogrodzie, — że Lilla może wyjść wkrótce za mąż?

Czarne oczy Rzymianki napełniły się łzami.

— Tak, — rzekła, — ale nie chciałabym się z nią r[…] łączać! Ja ją tak kocham!

— Wierzę! Gdyby się jednak znalazł ktoś taki, k[…] ryby wam jej nie zabrał, tylko zamieszkał u was, na pr[…] kład — Wincenty?

— Ach, on o tem nie myśli! Nie opuści pana za [..] w świecie! Bardzo to dobry człowiek!

— Wiem, że on do mnie przywiązany, ale swoją d[…] gą kocha on Lillę! Nie mówi wam nic o tem, bo lęka [..] obrazić was i przestraszyć Lillę. Ale oboje kochają s[…] Jesteście rozsądną kobietą i kochającą matką — rozważ[…] sobie tę rzecz dokładnie!

Po tych słowach wręczyłem jej zamkniętą kope[…] i dodałem jeszcze:

— Macie tu cztery tysiące franków na wyprawę d[…] Lilli! Nie dziękujcie mi, jest to wielką dla mnie przyje[…] nością, że mogę wam się przysłużyć. Wincenty dobr[…] jest i poczciwym chłopcem, Lilla będzie z nim bard[…] szczęśliwą! I wam będzie dobrze!

— Dziękuję panu, — rzekła pani Monti z wdzięczn[…] ścią. — Aż do ostatniej chwili mego życia będę pana bł[…] gosławić.

Na drugi dzień kazałem pakować kufry.

— Rozłączenie jest najlepszą próbą miłości, — powi[…] działem Wincentemu. — Wracamy do Neapolu!

Przy pożegnaniu uśmiechała się pani Monti i Wi[…] centy także — tych dwoje więc już się porozumiało — Lil[…] za to bardzo była przygnębiona i miała łzy w oczach.

Wszystko zatem było w porządku.

Co do mnie, to z żalem opuszczałem miasteczko [..] wiedziałem bowiem, że już je nigdy w życiu nie zobaczę.

Ostatniego stycznia wróciłem po czterotygodniowe[…] nieobecności do Neapolu. Wszyscy moi znajomi powita[…] mnie z wielką serdecznością — o pojedynku nikt już n[…] wspominał.

Na ulicach wrzał karnawał — ze wszystkich stro[…] brzmiała muzyka, tańce i śpiewy.

Ja żadnego w zabawach nie brałem udziału, musia[…] łem bowiem przygotowywać wszystko do — mego ślubu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Kilka dni po powrocie ogłosiłem publicznie moje za[…] ręczyny z hrabiną Romani, a zaraz nazajutrz spotkałem na ulicy markiza d' Avrencourt.

Pomimo szczerej przyjaźni, jaka nas łączyła, był o[…] dziś zmieszany i niepewny siebie.

Po kilku obojętnych zdaniach, zapytał mnie wprost bez żadnych wstępów:

— Więc ślub pana odbędzie się rzeczywiście?

— Naturalnie, — odrzekłem, śmiejąc się, — czy pan wątpiłeś o tem?

— Nie, to jest — myślałem — spodziewałem się. —

— Wiem już, co pan myślałeś, ale w naszym wielkim świecie nie trzeba za wiele wymagać. Na stosunki kobiety przed ślubem trzeba patrzeć przez palce, po ślubie — to co innego! Listy, które mi pan przysłałeś, zawierały dziecińbstwa, nic więcej! Po ślubie będzie hrabina najcnotliwsza kobietą na świecie!

Markiz patrzał na mnie z nieudanem zdziwieniem, ale — milczał.

— Życzę panu szczęścia, — rzekł po chwili. — Wiesz, co robisz! Co do mnie — niech żyje kawalerski stan!

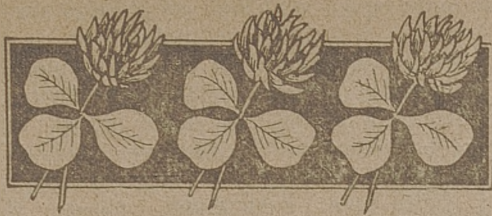
Oprócz niego nikt się nie dziwił, że zamierzam zaślubić hrabinę Romani. Wszyscy zajmowali się nami i cieszyli się na nasz ślub, jak na zabawę ludową, a przygotowania już prawie były teraz ukończone.

Z łatwością nakłoniłem też Ninę do przyspieszenia ślubu — zasypywałem ją kosztownemi podarunkami, a że oprócz majątku Romanich miała jeszcze cały majątek Gwidona, przeto zbytki jej nie znały granic! Zdjęła teraz żałobę, kupowała najkosztowniejsze stroje i dokuczała jak mogła wszystkim tym kobietom, które miały skromne dochody i musiały się w wydatkach bardzo ograniczać.

Ślub nasz miał się odbyć zupełnie cicho w kaplicy San Gemara — nasz pierwszy ślub odbył się tam także!



(Ciąg dalszy nastąpi.)



Do Czytelników!

Wyrok ostatni, skazujący p. Jana Kwiatkowskiego, młodzieńca dotychczas niekaranego, współpracownika naszego bardzo pilnego, gorliwego i nadzwyczaj sumiennego, *na rok i trzy miesiące więzienia*, zadał znowu wielki cios naszemu Wydawnictwu.

Czytelnicy! Dajcie dowód, że Polacy w nieszczęściu uczą się hartowości i nie zrażają się przeciwnościami.

Za osadzenie w więzieniu całego szeregu redaktorów, za liczne konfiskaty, za rewizye policyjne — za to wszystko obrachujcie się w naszem imieniu, Czytelnicy: *podawajcie „Pracę" z ręki do ręki*, zachęcajcie do abonowania, wskazujcie na ważne artykuły w ważnych sprawach społecznych, pamiętajcie, *że dom, że rodzina, w której zagości „Praca", jest już* posterunkiem wobec germanizacyi.

Odzywamy się do Was dziś energiczniej może, niż kiedykolwiek, nigdy bowiem jeszcze, odkąd pisma polskie istnieją, nie wychodziło pismo w tych ciężkich warunkach, jak wychodzi „Praca". Nam nie dość współczucia Waszego, jakie towarzyszy każdemu ciosowi w nas wymierzonemu: my czynnego od Was żądamy poparcia, Czytelnicy! *My żądamy, spodziewamy się od Was dowodu, że agitujecie nad rozszerzaniem naszych idei politycznych i że pracujecie wraz z nami nad tem, aby zwiększał się zastęp politycznych naszych przyjaciół.*

A więc zjednywajcie nowych abonentów! *Zdwojona liczba abonentów!* — taką niech będzie Wasza odpowiedź na rewizye, konfiskaty, aresztowania i srogie wyroki! *Redakcya*

Do dzisiejszego numeru dołączamy kwity pocztowe na „Pracę" na listopad i grudzień, oraz kwit pocztowe na „Czytelnię Polską" n bieżący kwartał.



Wiadomości.

— ***Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego z nie odszkodowania, i to choć interesent takowe sobie wyraźni zastrzegł.***

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

— **Komitet wyborczy** ściślejsz na powiat Szubiński odbył zebra nie swoje i wzywa wszystkic członków podkomitetów, jako te i mężów zaufania, aby niezwłoczni rozpoczęli agitacyą wyborczą.

W tym celu przyśle im Komitet w najbliższym czasie okólnil informacyjne.

— **Z teatru.** Świeżo wystawiono z wie kiem powodzeniem piękną sztukę ludow ze śpiewami i tańcami Galasiewicza p. „Ciarachy." Sztuka, pomimo niektórych sterek, jest dobrym utworem sceniczny Gra artystów była nadzwyczaj stara na, a niektórzy wywiązali się ze sw go zadania świetnie. Wspaniałym ty pem starej wieśniaczki była mianowic pani Królikowska; dzielną wiejską dziew czyną była panna Micińska w roli Mart dobrą była też panna Podgórska w ro Haliny, chociaż rola ta nie koniecznie by dla niej stosowną. Dobrze też pojęli i prz prowadzili swe role pp. Stefański (Matus Wiślański (Włodek), Malski (Gnacik) Str diot (Paluch), Ryszkowski (Bazyli). Pa Dybizbański w roli Walka, parobka, by znakomitym. Reszta artystów grała be zarzutu. Wystawa była staranna, a kr kowiaka i mazura odtańczono z werw i życiem.

Staranna reżyserya, wyborny repertua sumienne wystawienie sztuk wobec dobrz już zgranego personału, wszystko to p winno ściągać liczną publiczność do teatr Niestety! teatr świeci zbyt często przer żającemi pustkami, bo publiczność nas woli składać hołd różnym podkasanym m zom „z pod ciemnej gwiazdy" w Kaiserga tenach, Apolinach itd., aniżeli wspiera teatr nasz, ten filar publiczny — może j dyny — naszej polskości na posterunk kresowym.

Starania, mozoły, pracę dyrekcyi powinna publiczność uznać i popierać teatr gorąco, a nie ozięble, jak się to dzieje w bieżącym sezonie, tym więcej, że dyrekcya i nadal ma zamiar wystawiać sztuki tak oryginalne jak też tłumaczone tylko dobre, a nie t. zw. „szopki.“

Między innemi wystawi dyrekcya w sobotę, dnia 1-go bm. po raz pierwszy przepiękne „Dziady“ Adama Mickiewicza w układzie scenicznym znakomitego autora „Wesela“, „Warszawianki“ i innych St. Wyspiańskiego.

Czyż jest w literaturze polskiej arcydzieło, któreby losy narodu lepiej uwydatnić mogło? Czyż istnieje poezya w cudowniejsze ujęta formy? Czyż są myśli głębokie, jaśniejszą wyrażone mową, jak w nieśmiertelnych „Dziadach“? Poematem tym króla naszych wieszczów szczyci się naród cały, a teraz dzięki Wyspiańskiemu, który „Dziadów“ uscenizował i to uscenizował znakomicie, stał on się przystępnym dla wszystkich warstw narodu.

Wystawienie „Dziadów“ na scenie poznańskiej schodzi się z świętem dziadów czyli „zaduszek“, które się rozpoczną w dniu W. Swiętych. W tych dniach zaangażowała dyrekcya jeszcze bardzo zdolnych młodych artystów, pp. Wormana z Paryża i Andruszewskiego ze Lwowa, oraz dokompletowała chór damski o kilka osób miejscowych.

W „Dziadach“ weźmie udział w komplecie cały personał męzki, oraz prawie wszystkie artystki naszej sceny.

Nie wątpimy, że „Dziady“ ściągać będą do teatru licznych widzów.

— **Na wdowę** po nauczycielu nadesłał Czytelnik „Pracy“ z Opola 50 fen. Razem dotąd złożono 1,50 mk. Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmujemy.

— **Pani Helena Fabisz** (patrz anons) poleca swą pracownią konfekcyi damskiej łaskawym względom Szanownych Czytelniczek.

— **Pan L. Małuszek** w Kępnie poleca swój wielki wybór towarów łokciowych. Specyalność: konfekcya damska i dla dziewcząt.

— **Odznaczenie.** Na wystawie prowincyonalnej pszczelniczej we Wschowie otrzymała drogerya „Universum“ p. B. Śniegockiego w Poznaniu najwyższe odznaczenie, srebrny medal wraz z dyplomem honorowym, za wystawione okazy z dziedziny machin, przyborów pszczelniczych itd. Drogerya ta już kilkakrotnie odznaczoną została srebrnemi medalami i dyplomami tak w Poznaniu, jak i na innych wystawach. Ruchliwej tej firmie: „Szczęść Boże!“

Szamotuły d. 27. 10. 1902. Po wielkich utarczkach nareszcie uzyskał Bank Parcelacyjny z Poznania przy ul. Wiktoryi Nr. 12 zezwolenie do rozkolonizowania kupionego folwarku od p. Sielinga w Szamotułach. Teraz więc można każdego czasu zamawiać sobie parcele pod budowlę wielkie i mniejsze u kupca p. Sobkowiaka w Szamotułach przy rynku lub u pozasłużbowego burmistrza p. Szorsza tamże, który się na takiej parceli bankowej pobudował. Jest tam przeszło 100 parcel do wyboru.

— **Fortepiany Manda** odznaczone zostały na tegorocznej wystawie w Dyseldorfie znowu najwyższą nagrodą, *wielkim złotym medalem.* Budowa ich polega na nowym wynalazku w konstrukcyi rezonansu, tak że głos ich jest nadzwyczaj dźwięczny i pełen a uderzenia lekkie. Ztąd też pochodzi, że fortepiany Manda jedyne są w świecie, które w 20 latach na rozmaitych wystawach 24 *tylko pierwsze* nagrody uzyskały. — Zastępcą tej sławnej na obu półkulach firmy jest p. *A. Drygas* w Poznaniu.

— **Pan Ignacy Zyto** osiedlił się jako weterynarz w *Miłosławiu.*

Zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom na ogłoszenie p. t. „Nowy Browar w Grodzisku“. Z nadesłanego nam komunikatu Spółki zamieszczamy następującą notatkę:

„Litr piwa kosztuje tylko 10 fen., a na życzenie przesyła browar także korki z swą firmą po cenie zakupna, a wtedy odbiorca ma pewność, że korki są odpowiednie, gdyż od korka zależną jest konserwacya piwa.

„Obecnie zamawia się piwo z dostawą w marcu. Browarowi chodzi o to, aby mógł sobie obliczyć, ile pszenicy zakupić.

„Jeśli społeczeństwo nasze powie sobie jak nas nasi pobratymcy Czesi pouczyli — „Nie piję innego piwa grodziskiego, jak z Nowego Browaru w Grodzisku“ wtedy mamy to przeświadczenie, że na przyszły rok tyle odbierzemy zamówień, iż piec nasz w browarze nigdy nie wygaśnie i że browar nasz nie tylko zasłynie, lecz i odpowiednią dywidendę odrzucać będzie.“

— **Z prowincyi.** „Dziennik Poznański“ z d. 23. października krytykuje właściciela fabryki mydeł, p. Ludwika Ascha, że jako przewodniczący gminy Starołęka był głównym mistrzem ceremonii w owym akcie przechrzcenia, ale pan ów byl inicyatorem nazwy Luisenhainu, gdyż już od kilku lat tak Starołękę w swych papierach handlowych nazywa. Większą część klientów p. Ascha stanowią polscy kupcy, którym p. Asch jak najdobitniej uwydatnia jak wszystko, co polskie, ignoruje. Postępowaniem swojem zachęci p. Asch nienależących jeszcze do hakaty, aby tak, jak on, Polaków ignorowali.

Myśl założenia w Poznaniu fabryki mydeł nie ma racyi bytu, bo wytworzyło by się firmie „St. Zychliński“ w Gnieźnie konkurencyą a tego przecież nie chcemy. Możeby się dało przedsiębiorstwo p. Żychlińskiego zamienić na Towarzystwo akcyjne lub podobne, aby otworzyć jedno polskie światowe przedsiębiorstwo. Pole zbytu zapewnione a interes pewny.

Przedsiębiorstwo p. Stafana Żychlińskiego jest jedyne w tej branży polskie, dlaczego jest moralnym obowiązkiem pp. kupców o tem pamiętać.

— **Pleszew.** Corocznie piszą i straszą gazety, że będzie ostra zima; w tym roku ma nawet być „bardzo mroźna“, podług „Pracy“ z dnia 19. 10. Ja za każdym razem powiadam, że może będzie trochę mroźna, ale „bardzo mroźna“ nie będzie. Wejrzyjcie na Wartę, Odrę, Wisłę, Elbę, a ujrzycie małą wodę. Wejrzyjcie na lasy w średnicy 60 – 80 milowej, a ujrzycie mało lasów, — o wiele mniej, aniżeli przed 50 — 100 laty. Słońce wywołuje mrozy, im silniej dogrzewa słońce tym cięższe nastają mrozy. A czy Falb, Ledóchowski wie *napewno*, że zima ta będzie bardzo słoneczna? Nie wie! i ja także nie wiem; ale wnoszę z bieżącego lata, że słabo będzie słońce świeciło. Zobaczymy, kto będzie miał racyą. Gdyby w ciągu listopada lub w grudniu przez deszcze nadzwyczajnie podniosła się (stanęła wyżej) podziemna woda, możeby mrozy dochodziły od 15 do 18° R., i jeżeli takie deszcze nie nastaną, to nie będzie widoków na „bardzo mroźną“ zimę. Wytnijmy wszystkie bory, wogóle, wszystkie drzewa w całej Europie, błota osuszmy, a rzek koryta wyczyśćmy, aby wody wygodnie do mórz płynąć mogły, a będziemy mieli klimat przecięciowo o 3 do 6° R. cieplejszy — latem i zimą.

— **Szan. Publiczności** miasta Kępna i okolicy zwracamy uwagę na ogłoszenie p. Mieczysława Szymkowiaka, który w drodze kupna przejął skład kolonialny pod firmą „Klemens Brunsz“ w Kępnie.

Pan Szymkowiak pracował przez długie lata w pierwszorzędnych interesach i zna swój fach dokładnie, jesteśmy więc przekonani, że zadowolni najwybredniejsze wymagania pod każdym względem.

Polecamy gorąco interes p. S. Szanownym Czytelnikom miasta Kępna i okolicy.

Jeden z naszych Czytelników prosi o wskazanie takiej miejscowości, w którejby mógł założyć z powodzeniem biuro ludowe.

— **Pan Antoni Janiak** osiedlił się w Pleszewie i wykonuje wszelkie prace, wchodzące w zakres budownictwa. Zwracając uwagę na odnośne ogłoszenie, polecamy naszego rodaka względom Szan. Czytelników.

— **Ostrzeszów.** Grabów, polskie miasteczko nad Prosną, mające polską radę miejską, po wyprowadzeniu się z Grabowa dotychczasowego swego przedstawiciela w sejmiku powiatowym, p. Kozłowskiego, wybrało w jego miejsce do sejmiku swego burmistrza Niemca ewangielika o polskiem nazwisku „Maletzki“. Fakt smutny, ale prawdziwy.

Od Redakcyi.

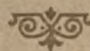
Pani Helenie W. w Lidzbarku Pr. Zach. Jest kanonikiem w Poznaniu już od lat wielu.

Panu Karolowi Kr. w Ostrowie. Pieczęć wiadoma zdaje się posiadać wartość historyczną. Ofiaruj ją Pan do Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

Panu Janowi K. w Bankau. List musiał zaginąć. Wydawnictwo nasze istnieje tak jak istniało. Co do kliszy ś. p. księdza B., to każemy ją zrobić, jeżeli nam Pan wpierw nadeśle krótkie tj. treściwe wspomnienie pośmiertne.

Panu P. G. Przyślij Pan zredagowany anons, a chętnie go zamieścimy bezpłatnie, innej rady Panu mimo najszczerszej chęci udzielić nie możemy. Co do drugiego punktu — zamieściliśmy w „Wiadomościach“.

— *Panu Józefowi C. w Derne (Westfalia).* Dziękujemy za łaskawą pamięć, dla braku miejsca mogliśmy tylko zamieścić w skróceniu.



Telegraficzne oświadczenie od wydawcy.

Wszelkie twierdzenia „Gońca Wielkopolskiego“ zakrawają na żart idyotyczny albo są bezczelnem kłamstwem. Bajka o sprzedaży „Pracy“ Rosyanom jest zbyt naiwną, by o niej sądzić na seryo. Co zaś dotyczy owego rzekomego żydowsko-niemieckiego dyrektorstwa, to wystarczą moja dotychchczasowa czynność, mianowicie wykupienie w ostatnim czasie takich majątków z rąk niemieckich, jak Wielkie Jaułty, Wojcin, Proszyska, Bławaty i t. d., aby stanowczo zbić kłamstwo „Gońca Wielkopolskiego.“ Gdym odwiedził w powyższe sprawie p. Milskiego, nie mógł mi tenże twierdzeń powyższych żadnemi faktami udowodnić i zaprosił mnie następnie na szklankę piwa, lecz nie poszedłem. Oto wszystko.

Strzelno, dnia 6. Listopada 1902.

Marcin Biedermann.

 # Parcelacya 

Majętność Tokarzew w powiecie Ostrzeszowskim

(poczta Doruchów, stacya koleji Ostrzeszów i Domanin)

będziemy parcelować

Tokarzew — kilka tysięcy mórg obszaru — wśród przepięknych łąk i lasów, malowniczo położony, — z czterema folwarkami, leży nader korzystnie — przy większej wsi i w pobliżu powiatowego miasta Ostrzeszowa (Schildberg), a nadto w pośród dwóch dworców: Ostrzeszów i Domanin, w czysto polskiej, bardzo uroczej okolicy.

Grunta miejskie graniczą bezpośrednio z Tokarzewem.

Kościół parafialny — zaraz w sąsiednim Mikorzynie — słynie z licznych pielgrzymek i z sławnych odpustów.

Do królewskiego gimnazyum w Ostrowie niespełna 30 minut koleją

Tokarzew jest do nabycia:

w parcelach pojedyńczych już od 5 mórg począwszy, a dalej

1. Wieś rycerska Tokarzew około 1500 mórg i więcej, albo też i mniej w tem 800 mg. ziemi órnej, 200 mg. przepysznych, bardzo wartościowych, trzysiecznych łąk i około 500 mg. ładnego lasu;

polowanie jakich mało.

Budynki gospodarcze obszerne, prawie zupełnie nowe, murowane i w największym porządku; bardzo liczny i doborowy inwentarz; żniwa nader obfite i dotąd jeszcze nietrącone.

Dwór pański, w rodzaju willi z śliczną werandą o 11 pokojach, w bardzo obszernym, rzadko pięknym parku — z przecudnem panorama na stare cieniste drzewa, przylegające łąki i rozległe lasy.

Ziemia urodzajna, zdrowa żytnia i jęczmienna, w starej kulturze; gospodarstwo zasobne i wzorowe. Wskutek licznych znakomitych łąk, które uchodzą za najlepsze z całej okolicy, można trzymać silny inwentarz i już przez to samo dorobić się mienia.

— Na majątku ciążyć będzie tylko landszafta.

Zaliczki potrzeba 50 do 60.000 mk.

(Na wczesne zamówienia przybędą konie do stacyi Domanin.)

2. Folwark Wygoda, około 800 mg. w tem 500 mg. ziemi órnej, 100 mg. doborowych łąk i 200 mg. lasu; budynki znakomite, murowane, zupełnie nowe, tuż przy szosie latowej i niedaleko miasta, ładny inwentarz; żniwa dotąd nienaruszone. Zaliczki 30,000 Mk.

3. Folwark Nowy, około 700 mg., w tem 400 mg. órnej ziemi, 50 mg. wybornych łąk i 250 mg. lasu; budynki zupełnie nowe, kompletny inwentarz i całe, bogate żniwa. Zaliczki 20,000 mrk.

4. Folwark Jadwisin, około 400 mg., w tem 200 mg. pod pługiem, 100 mg. pysznych łąk z niewyczerpanym pokładem torfu i 100 mg. lasu, z więce niż dostatecznym inwentarzem i nader zasobnem żniwem. Zaliczki 12,000 mk

5. Gospodarstwo około 150 mg., w tem 80 mg. pod pługiem, 40 mg. świetnych łąk i 30 mg. lasu. Bardzo ładny dom o 6 pokojach w pięknym sadzie, z odpowiednim inwentarzem i z całem żniwem. Zaliczki 6,000 mk.

6. Trzy gospodarstwa po 50 mg. i więcej, lub też i mniej, każde gospodarstwo z wygodnym domem i kompletnemi budynkami, z całem żniwem i inwentarzem przy dogodnych spłatach. Zaliczki przynajmniej po 500 talarów.

7. Młyn wodny, bardzo korzystnie położony, z niewyczerpaną ilością wody, mogący liczyć na świetne powodzenie, przyczem dostateczna ilość roli, kawał ładnej łąki, troszeczkę lasu i. t d.

Zaliczki podług umowy.

☞ Zgłaszający niech podadzą zaraz jaką rozporządzają gotówką. ☜

8. Dalej nabyć też można parcele pojedyńcze od 5-ciu mg. począwszy: kto chce, może i więcej roli nabyć i to przy małej wpłacie i bardzo dogodnych warunkach, zwłaszcza, że Tokarzew jest większa wieś a we wsi wolno się każdemu osiedlić i pobudować wedle własnego upodobania.

Prosimy o wczesne przybycie do Tokarzewa celem oględzin.

Przy osobistych oględzinach udzieli bliższych informacyi i objaśnień tam na miejscu

a: nasz zastępca zamieszkały we dworze Tokarzewie,
oraz
b: właściciel oberzy w Tokarzewie.

Natomiast piśmienne zgłoszenia — z podaniem możności wpłaty — prosimy wysłać wprost do nas do Poznania.

DRWĘSKI & LANGNER

Dom Bankowo-komisowy

ul. Rycerska 38. **w Poznaniu** **Telefon 1246.**

☞ *Przy zamówieniach o konie prosimy depeszować:* Dominium Tokarzew Doruchow. ☜

Osiedliłem się

w Pleszewie

i wykonuję wszelkie prace w zakres budownictwa wchodzące.

ANTONI JANIAK

budowniczy.

Na porę obecną polecam

mój jedyny polsko katolicki

skład gotowej garderoby

mezkiej i dla chłopców.

wielki skład sukna,

w razie zamówienia wykonuję szybko, tanio i akuratnie.

Wielebnemu Duchowieństwu polecam dobry krój rewerend.

W. MROCZEK. mistrz krawiecki.

Nakło, rynek, narożnik. 754

Materyały piśmienne

poleca

hurtownie i detalicznie

Skład papieru i materyałów piśmiennych

„ATLAS“

W. Kostrzewski,

Poznań, Stary Rynek nr. 48. 57

Darmo

daje recepty do fabrykacyi sztucznych win

A. Szmytkowski

Pniewy (Pinne, Pr. Posen).

Destylacya i fabryka likierów

poleca po niskich cenach

Jubileuszówkę

wyborną wódkę deserową, odznaczoną na wystawie w Bordeaux i na wystawie hygienicznej w Poznaniu złotym medalem, oraz wszelkie inne wyroby moje jako to znakomite 57

nalewki, wódki gdańskie,

żołądkowe, alpejską,

araki, rumy i franc. koniaki.

Polska restauracya

w Berlinie, 716

Punkt zborny akademików Polaków.

Kuchnia polska.

Obiady po 75 fen., w abonamencie po 60 fen.

Łaskawym względom Sz. Rodaków poleca się

J. Raczkowski N. Linienstr. 111.

Największa nowość!

W państwie niem. co do użycia marka ochronna.

Koncertowy piston — akordeon

w zbudzeniu wszędzie wskutek dokładnej konstrukcyi, bardzo dobrej budowy i taniej ceny wielkie zainteresowanie.

Bez znajomości nut może każdy najładniejsze sztuki do tańca, marsze śpiewy itd. wygrać. Instrument ten ma 28 głosów przy cudownie zadziwiającem towarzyszeniu basu.

Sztuka kosztuje tylko ***3,50 M.***

Szkoła darmo, tuzin 36 mk.

Illustr. pyszne katalogi o cytrach, skrzypcach, harmonikach itd. franko.

E. L. Brückner

Klingenthal i. Sa. (752)

WAWRZYNA

Zajmująca powieść z czasów *Leszka Białego.* **Cena 1,25 mk**

Jak pisać listy?

czyli

Nowy sekretarz polski.

Pożyteczna ta książka podaje wzory na listy z prośbami, powinszowaniami, listy miłosne, z dziedziny handlu i przemysłu itp. z dodatkiem: listów najznakomitszych pisarzów, jak: Mickiewicza i Sienkiewicza. Cena za egzempl. 1,60 mk. za egzempl. oprawny 2 mk. Za opł. poczty 20 fen.

K. Kozłowski

Poznań (Posen)

ulica Długa nr. 8. 597

Potrzebni od Stycznia:

Rządzca **żon.** na 800 M. i deput.

Urzędnik **kawal.** z lepsz. wykształceniem na 800—1000 M.

Potrzebni zaraz:

Nauczycielka egz. muz. na 1000 M. do miasta.

Francuska starsza na 600 Mk. na wieś.

Pośrednik miejsc dla urzędników gosp. i nauczycielek **Franciszek Niedzielski,** Poznań—Posen Bäckerstr. nr. 7. Stellenvermittler. 792.

Bardzo tanio

jest na sprzedaż gr.

płaszcz watowany i peleryna

w dobrym stanie.

Dowiedzieć się można na Rycerskiej ulicy nr. 7. IV. piętro z frontu pomiędzy godziną 1—3 i 5—7.

Panienkę

od 15—18 lat liczącą, córkę z porządnej familij i religijno wychowanej poszukuję do restauracyi i pomocy domowej. Reflektanki raczą się zgłosić pod Adresą: 781

Teofil Drozdowski

restauracya i destylacya w Pile (Schneidemühl)

Nowy Rynek 5

Patenty na wynalazki

wyrabia i sprzedaje we wszystkich krajach

Międzynarodowe Biuro Patentowe Techniczne

I. Brandt & G. W. Nawrocki w Berlinie W.,

446 **Fryderykowska 78.**

(Właśc. firmy: **A. Loll i W. Ziołecki.**)

Letzte grossartige Neuheit

(D. R.-Patent A.) ist das

Sicherheitsrasirmesser „Volksfreund“

die bisherigen Uebelstände bei Sicherheitsrasirmessern fallen bei meinem Volksfreund gänzlich fort, doppelter Schutz, ein Verletzen ganz ausgeschlossen, jeder Ungeübte kann sich sofort ohne Gefahr in 2 Minuten rasiren. Preis 3 Mark franco gegen Nachnahme.

14 Tage zur Probe! 2 Jahre Garantie

Zurücknahme, wenn nicht gefällt oder Umtausch, ebenso versende Rasirmesser ohne Schutzvorrichtung, alles aus bestem Silberstahl unter 2jähr. Garantie, 35 verschiedene Muster von 1.50—8 Mark pr. Stück zu jedem Bart passend. Die weltbekannte

Haarmaschine „Volksfreund“

für jede Familie zum Selbstschneiden nur noch **Mk. 4.60** Porto extra

alles 14 Tage zur Probe! 2 Jahre Garantie! versendet die Stahlwaarenfabrik von

Friedrich Wilhelm Engels

Nümmen-Gräfrath b. Solingen. 279

Grosser illustr. Katalog mit 1800 Abbildungen und vielen Neuheiten versende an jedermann umsonst und portofrei.

Vertreter an allen Orten gesucht.

Jest do nabycia

KAMIENICA

z kuźnią i warsztatem stelmachskim

w jednem z większych miast prowincyi poznańskiej pod bardzo korzystnemi warunkami. Cena kupna 48 tysięcy marek, dochód roczny z dzierżaw przeszło 3700 marek. Wpłata około 6600 mk. Położenie korzystne. Są pewne widoki, że grunt ten w czasie najbliższym zyska o jakie 20% na wartości. Zgłoszenia pod literą Z. I. 59. do ekspedycyi „Pracy.“ (758)

Meinel & Herold

Harmonika-Fabrik, Klingenthal (Sachs.) No. 181

vers. unter Garantie direct an die Spieler per Nachn. ihre vorzügl. Harmonikas.

Nur $4\frac{1}{2}$ M.

kost. eine solide Conz.-Zug-Harm. m. 10 Tast., 50 stark. Stim. (2 chörig). Pa. Stahlfederung, off. Claviatur, 2theil. (11 falt.) weit ausziehbarem Balg mit Metallschutzecken, vernickelte Metallbassklappen, Grösse ca. 33 cm, dieselbe Harmonika, 3 echte Register, 3 chörig, 70 Stim., pracht. Orgelton, kostet **nur 6 M.** Selbsterlernschule u. Holzkiste umsonst hierzu. 2, 3, 4, 6, 8 chörige; 2 u. 3 reih., sowie sogen. Wiener Harmonikas in üb. 120 Nr. staunend billig u. doch gut. Neuester Catalog (100 Seiten stark m. 200 Abbild.) umf. Musikwerke, Violinen, Mundharm., Bandonions, Zithern billigst. Garantie: Zurücknahme und Geld retour. Kein Risico.

Ueber 5000 Dankschreiben.

ZGADŁA.

Konkurent: — O, pani, pani nawet nie zgaduje, nie wie, od jak dawna serce me ku niej zabiło!

Ona:—Owszem, wiem dokładnie, od chwili gdym odziedziczyła spadek.

Pieniądze

w każdej ilości — na pierwsze resp. drugie miejsca dobrze się rentujących

kamienic

miasta i przedmieść Poznania, także

na wsie (tj. majątki ziemskie) *prowincyi Poznańskiej, mamy od zaraz lub później do ulokowania.*

Dworski & Langner

dom bankowo - komisowy

w Poznaniu. *Ul. Rycerska 38.*

J. Silski,

mistrz stolarski,

Poznań, ulica Wrocławska nr. 31

poleca swój

magazyn mebli

zał. w r. 1889, zaopatrzony *w meble własnego wyrobu,* znanej dobroci.

Kompletne wyprawy, osobne urządzenia pokojowe po nader niskich cenach i rzetelnej usłudze. Dogodna spłata ratami. 210

L. Kaniewski

w Poznaniu, ul. Wodna nr. 2

poleca swą od roku 1846 istniejącą

FABRYKĘ TABAKI.

Zwraca mianowicie uwagę *na tabaki ruskie, holenderkę, prawdziwy Nessing.*

Polecam także swój znany

skład cygar

li tylko odleżałych.

Papierosów i tytuni

w najrozmaitszych gatunkach.

NOWOŚĆ! Tabaka zdrowia przeciw katarowi.

NOWOŚĆ! Tabaka zdrowia przeciw katarowi.

Gabinet dentystyczny

J. Gulińskiej

Poznań, ul. Berlińska 19

(nad Schneidrem). 25

Trwałe plomby, zęby sztuczne z gwarancyą dobrego ożenia w ustach.

Ceny umiarkowane. Dla dzieci w wieku szkolnym i młodszych o połowę niższe.

Egzaminowana nauczycielka

do wyższych zakładów żeńskich udziela po przystępnych cenach **lekcyi języków: polskiego, niemieckiego, francuzkiego i angielskiego, korepetycyi oraz muzyki** tak dziewczętom jak też chłopcom w domu i poza domem. Bliższych wiadomości udzieli **Redakcya „Pracy“.**

Pewna egzystencya

Istniejąca od 17 lat i dobrze prosperująca fabryka pump mniejszego rozmiaru połączona z interesem studzien, jest w mieście powiatowem i garnizonowem w Księstwie w pobliżu dworca, wskutek podeszłego wieku obecnego właściciela zaraz do sprzedania. Wpłaty potrzeba 4—5,000 mk. 780

Można także nabyć posiadłość na której interes ów bywa uprawiany z wpłatą 4—6,000 mr.

Łaskawe oferty pod lit. **S. 400** do eksp. „Pracy.“

Mk. 50 tys.

na **pewne** hipoteki

li tylko majątków ziemskich,

mamy od zaraz do wypożyczenia.

Jrwęski & Langner

Dom bankowo-komisowy

Poznań ul. Rycerka 38.

Karty okrętowe

z Hamburga do Ameryki i Brazylii itd.

poleca 439

Adam Spektorek

(Kolmar i P.).

Kto karty okrętowe u mnie kupuje, jedzie pod opieką stowarzyszenia św. Rafaela, na czele którego stoją księża katoliccy, przez co ochroni się od każdej moralnej i materyalnej straty.

Co tylko wyszło:

Briefsteller und Ratgeber

für Schreiber an Behörden

von W. Uebelacker.

W dziełku tym podane są wzory i wskazówki jak pisać do wszelkich władz w sprawach gminnych, budowlanych, policyjnych, procederowych, szkólnych, sądowych, wojskowych i t. d. Niezbędne dla każdego. Cena egzempl. 1 m. z fr. przesyłką 1,10 m., przez zaliczkę 1,35 mk., poleca księgarnia: *N. Kamieńskiego i S-ki w Poznaniu,* ulica św. Marcina nr. 16/17.

Słownik kieszonkowy

polsko-niemiecki i niem.-polski obszerniejszy do podręcznego użycia przez Ks. Łukaszewskiego i A. Mosbacha 2 tomy opr. w jednym razem, 209 stron. Cena w opr. m. 5,50, z przesyłką franko mk. 5,80, przez zaliczkę mk. 6,10 — poleca

Księgarnia

N. Kamieńskiego i Sp. w Poznaniu, ul. św. Marcina nr. 16/17.

Grzyby

karpackie i litewskie

poleca po cenach hurtownych 608

DOM HANDLOWY

Stan. Gurgul

dostawca austr. Dworu

w Krakowie.

Młody człowiek — starszy biurowy

posiadający długoletnią praktykę i pod każdym względem obeznanie i wykształcenie biurowe z pięknem charakterem pisma i z nader chlubnemi większych biur świadectwami i świetnem powodzeniem, poszukuje miejsca biurowego gdzie by mógł przez swą pilność i zdatność w krótszem czasie dojść na sekretarza lub przewodniczącego, i eventl. wyrobić sobie pewne i stałe miejsce. (gr.

O wielkość pensyi chwilowo się nie rozchodzi — także nawet po osiągnięciu wymionego stanowiska chętnie się wynagrodzi. Najchętniej przyjmie miejsca w biurze p. mecenasów (adwokatów) lub tego podobnemu w miasteczkach księstwa Poznańskiego. Fotografie, świadectwa, polecenia na żądanie zaras wysyła i później osobiste przedstawienie się celem dalszej umowy. Najłaskawsze Oferty upraszam do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **J. B. 1860.**

Mam w Gnieźnie moją 789

kamienicę z wyszynkiem

z realnym konsensem na gruncie, w której się mieszczą

dwa wielkie handle kolonialne

i zamieszkałą przez urzędników sądowych wraz z

placem budowlanym

pod korzystnemi warunkami przy małej zaliczce lub na odpłatę zaraz do sprzedania. Położenie korzystne,

Łaskawe zgłoszenia przyjmuje

ANDRZEJ SZERMERSKI

Gniezno, ul. Poznańska 12.

Parcelacya.

W środę, dnia 12 listopada r. b. od godz. 12 w południe począwszy, parcelować będą na miejscu w domu p. Ignacego Napierały w Różnowie pod Obornikami posiadłość pana Napierały. 782

Kompletne zasiewy, cały inwentarz żywy i martwy i cały sprzęt; około 2 morgi boru.

Także w całkości można gospodarstwo nabyć.

Reflektanci mogą sobie posiadłość te każdego czasu i przed terminem obejrzeć i zemną kontrakty zawierać.

Warunki stawiam jak zwykle bardzo dogodne.

Józef Stark

Bank Parcelacyjny

i Kasa Oszczędności

Mogilno.

Bardzo korzystne kupno.

W większem mieście powiatowem Wks. Poznańskiego z polską okolicą jest duża murowana **kamienica** z obszernem podwórzem i wielkimi murowanemi budynkami w podwórzu z wygodnym wyjazdem zaraz do sprzedania. Na gruncie znajduje się od wielu lat **skład** który także objętym być może. Budynki w podwórzu bardzo zdatne na cele fabryczne. Zaliczki potrzeba około 8000 marek. Stan hipoteczny uregulowany. 790

Zgłoszenia **uprasza się pod lit. N. B. 181** do Ekspedycyi „Pracy“.

Konduktor. Proszę zapłacić 1 rub. 70 kop.

Pasażer po długich targach płaci.

Inny pasażer (po odejściu konduktora). Oni z tą szybą będą jeszcze z 10 lat jeździć.

Pasażer semita. Masz pan racyę, ja ją zbiję do reszty (uderza laską). Aj, aj! co to jest?

Tam była drugajeszcze szyba, zwyczajnie jak w zimie.

Pasażer semita. To pan będziesz płacił!... aj waj! rozbój!

Przy zakupnach i sprzedażach prosimy Szan. Czytelników powoływać się na „Pracę“, jako na źródło, skąd odnośne informacye zaczerpnęli.